CENA 1.50 ZŁ

51 (787) Rok XV

17.12.72

1972

ŁODZIANIE ROKU

Jak co roku, tak i w tym przeprowadzimy wśród Czytelników plebiscyt na Łodzian – 1972 roku. W następnym numerze „Odgłosów", przedstawimy kandydatów. Do tego tytułu w roku bieżącym kandydują: **LEON GOMOLICKI** – literat, **PAWEŁ KOWALSKI** – trener ŁKS, **ZOFIA MITUKIEWICZ** – pedagog, **LESZEK RÓZGA** – artysta plastyk, **BOGUSŁAW SOCHNACKI** – aktor, **STEFANIA SKWARCZYŃSKA** – profesor Uniwersytetu Łódzkiego, **RYSZARD STANISŁAWSKI** – dyrektor Muzeum Sztuki, **JERZY WERNER** – profesor Politechniki Łódzkiej, **ZDZISŁAW WYRZYKOWSKI** – przodujący robotnik, **ALEKSANDER ZWIERKO** – inżynier architekt.

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

KARL MARX

POESIE

Z CYKLU: „DO JENNY"

IV

Pozwoliłaś istnieć mej miłości:
Wciąż szerzej się otwiera,
Nad szczyty olbrzymiejąc rośnie,
Mgłę obłoków rozdziera.

Na gwiazdach układam ręce obie,
W rzece oczu twych brodzę,
Słońca tracą na blasku przy tobie,
Jasne stają się noce.

Całe niebo zanurza się w nicość
I powódź je porywa,
Zapamiętał wszechświat moją miłość,

Gdy się zaraz rozwarł przed mym bólem.
W górze ognia pokrywa,
Z łodyg pomarańcze trysną czule.

LUBCZYK

Błyszczy miód na twoich dłoniach,
Scałować go szybko chcę,
Nic mej duszy nie obroni,
Gdy demony wokół złe.

O, ten słodki lubczyk działa,
Bo mi zaraz zmącił głowę,
Oczy twe w pogodzie całe,
Że mnie smutek musiał odbiec.

Jaki urok mi zadałaś
Czarodziejko słodka ma,
Każdą cząstką mego ciała
Wszystko mnie ku tobie pcha.

Tylko ty tak umiesz leczyć,
Jadem słodkim goić rany,
Lecz zabawy sobie nie czyń,
Lubczyk mnie doszczętnie spali.

Przełożył: KONRAD FREJDLICH

OD TŁUMACZA:

O poetyckich uzdolnieniach Karola Marksa dowiedziałem się po raz pierwszy ze wspomnień zięcia wielkiego filozofa, Pawła Lafargue'a. Wspomnienia te omówił dla polskiego czytelnika w r. 1890, na łamach „Prawdy" Ludwik Krzywicki.

„W ogóle — powiada on tam — Marks posiada bogatą wyobraźnię poetycką i jego pierwsze prace naukowe są wprost poezjami, co więcej, w młodości pisywał wiersze, które żona jego chowała, nikomu nie pokazując".

Lafargue podaje także, że Marks zamierzał napisać dramat na temat walki Grakchów o prawa rolne, co nie jest takie dziwne, gdy się przypomni jego uwielbienie dla Eschylosa i Shakespeare'a, których czytywał a nawet recytował w oryginale. Wiemy także, że twórca socjalizmu naukowego znał doskonale twórczość Goethego i Heinego, poezję Burnsa i Dantego.

W r. 1970 redaktor wydawnictwa „Neues Leben" w Berlinie wręczył mi niewielki tomik oprawiony w zielony, lakierowany karton zawierający wiersze Marksa z lat 1836/37. Po zapoznaniu się z zawartością tomu trudno mi było się oprzeć pokusie, by nie przełożyć choć cząstki tych utworów.

Jest to bowiem poezja wielkiej namiętności, wielkiej wewnętrznej pasji, a zrodziła ją miłość do Jenny von Westphalen, która w przyszłości została żoną i dozgonną przyjaciółką Marksa. Te wiersze osiemnastoletniego chłopca wykazują niekiedy zaskakującą dojrzałość i kunszt poetycki, pozwalają nam też lepiej poznać osobowość wielkiego myśliciela. Ma chyba rację Guenther Cwojdrak, komentator wydawnictwa „Neues Leben", gdy pisze:

„Bez „Sonetu do Jenny", bez „Pieśni żeglarza na morzu", bez pierwszych zamaszystych ciosów epigramatów Marks nie byłby Marksem".

K. F.

TADEUSZ DASZKIEWICZ

POLARNIK

Od roku 1956 okolice bieguna północnego w celach meteorologicznych patrolują samoloty radzieckie i amerykańskie, dokonując w ciągu tygodnia zgodnie z harmonogramem po kilka lotów na ściśle wytyczonych trasach. Od 1957 roku z Kopenhagi do Los Angeles i Tokio przez biegun północny odbywa się normalna międzynarodowa żegluga powietrzna.

Do tych, którzy jako pierwsi stanęli na biegunie północnym i drążąc pokrywę lodowcową stwierdzili, iż pod nimi znajduje się ocean, a nie, jak mylnie dotąd mniemano, zmarznięta ziemia, należy WALENTY AKKURATOW — pilot nawigator polarnej żeglugi powietrznej. Swój pierwszy lot z Wodopianowem do tajemniczego kręgu bieguna północnego Akkuratow odbył na niewielkim, jednosilnikowym samolocie „R-5", który przy sprzyjającym wietrze, nad lądem, na wysokości tysiąca metrów, osiągnął maksymalną szybkość 185 kilometrów na godzinę.

25 marca 1936 roku na lotnisku moskiewskim oczekiwały na Akkuratowa i Wodopianowa dwa samoloty oznaczone symbolami „ZSRR-N-127" i „ZSRR-N-128". Lotnicy mieli sprawdzić funkcjonowanie przyborów nawigacyjnych w pobliżu bieguna północnego, przygotować lądowiska na dryfujących lodowcach dla ciężkich samolotów typu „Gigant-2" konstrukcji Tupolewa. Zadanie wykonano. W rok później wielka ekspedycja pod dowództwem Papanina mogła zapoczątkować kontynuowane do dziś badania kręgu polarnego.

Wybuch drugiej wojny światowej przerwał działalność naukową Akkuratowa. Skierowano go do tropienia niemieckich okrętów podwodnych, które naruszały północne rubieże morskiej granicy ZSRR. Następnie „latającą fortecą" ze znakiem białego niedźwiedzia nękał głębokie tyły Rzeszy Niemieckiej. W sierpniu 1942 roku postrzelony, wyskoczył z płonącego samolotu, a następnie przez wiele tygodni przedzierał się do swoich. Po wojnie wrócił do Arktyki.

☆ ☆ ☆

Donelaitisa — przeczytałem. Byłem tam kiedyś. Ulica w dzielnicy Tuszyno, na północno-zachodnim krańcu Moskwy. Donelaitis — wyjaśniano mi wówczas — jest klasykiem literatury litewskiej.

— Szosa Wołokołamska — informuje Jerzy. — A teraz przejeżdżamy tunelem, zbudowanym pod kanałem „Moskwa". Aż tutaj zdołali dojść Niemcy.

Skręcamy w prawo i po 40-minutowej jeździe zatrzymujemy się na krańcówce. Jeszcze kilkadziesiąt kroków. Schody. Dzwonek. Drzwi otwiera mężczyzna. Jerzy prezentuje:

— Flagmanskij szturman polarnoj awiacji, Walentin Iwanowicz Akkuratow!

Słynny **Akkuratow.** Pierwszy z lotników, który osiągnął biegun północny. Ten sam, którego metodę polarnej nawigacji — zwaną metodą pozornych południków lub metodą Akkuratowa — powszechnie stosuje się na obu półkulach i wykorzystuje w nawigacji kosmicznej.

Niewysoka, szczupła Kapitalina o wschodniej urodzie, ujmującym uśmiechu i sympatycznym głosie, to żona gospodarza. Wania, którego zastaliśmy w gabinecie, jak pracowicie rysował samoloty i polarne pojazdy gąsienicowe, to syn Akkuratowa, uczeń czwartej klasy szkoły podstawowej. Zadzwonił telefon. Ktoś z „Mosfilmu". Później z wydawnictwa, z lotniska, klubu polarników — osobistości i przyjaciele. I tak było już przez cały wieczór. Gospodarz — jak mi wyjaśnił w międzyczasie Jerzy — bywał w domu dosłownie gościem. Odczyty, spotkania, komisje egzaminacyjne, praca społeczna i zajęcia redakcyjne, wreszcie loty. Tylko w ciągu ostatnich dni odbył loty na Daleki Wschód do Bangla-Desz, Polski, nie licząc dziesiąt-

Dalszy ciąg na str. 4

ZE ŚWIATA

Tradycyjnie jesienią ministrowie spraw zagranicznych 15 państw NATO zbierają się na posiedzenie Rady Atlantyckiej. Całymi latami obrady takie nie wnosiły optymizmu, do pokojowych inicjatyw krajów socjalistycznych z reguły odnoszono się z rezerwą, zawsze zgłaszając „ale". I tym razem pojawiła się nutka antyodprężeniowa: rokowania owszem, lecz z pozycji siły. Mimo to wymowa brukselskiego komunikatu jest optymistyczna. Ministrowie musieli odnotować postępy w stosunkach Wschód — Zachód i wyrazić przekonanie, że nowy rok przyniesie dalszą ich poprawę. Pozytywnie odnieśli się do trwających wielostronnych rozmów przygotowawczych w Helsinkach, zapowiadając wniesienie konstruktywnego wkładu do zwołania konferencji. Najwięcej jednak uwagi poświęcili problemowi niemieckiemu.

Z lektury komunikatu wynika, że uczestnicy ministerialnej Rady NATO godzą się na równoczesne złożenie przez oba państwa niemieckie wniosków o przyjęcie do ONZ. Do łączącego się z tym problemu uznania NRD ministrowie ustosunkowują się ostrożnie, stwierdzając, że poszczególne rządy członkowskie mogą sobie życzyć rozpoczęcia rokowań z NRD. Niektórzy komentatorzy rozumieją, że w ten sposób daje się państwom sojuszu wolną rękę. Pewniejsza jest interpretacja inna — oszczędne sformułowanie ma zapowiadać oszczędne działanie, czyli próbę narzucenia stolicom zachodnioeuropejskim dalszej zwłoki w pełnym uznaniu państwowości NRD. Wątpliwe, aby to się udało — na plenum KC SED E. Honecker właśnie mówił, że „proces światowego uznania NRD jest w toku" — ale Rada nie życzy sobie, aby biegł on szybko. Chodzi ciągle o utrzymanie stanu pewnej tymczasowości. Dał temu wyraz min. Scheel na konferencji prasowej, kiedy cieszył się, że Rada zaaprobowała układ zasadniczy między obu państwami niemieckimi, ale jednocześnie uznała, że nie stanowi on ostatecznego rozwiązania problemu.

Rada NATO zajmuje też stanowisko wobec problemów rozbrojenia, wyrażając nadzieję, że w roku przyszłym rozpoczną się rokowania na temat wzajemnej i zrównoważonej redukcji sił. Równocześnie jednak ministrowie uznali za słuszne podkreślić konieczność powiększania siły bojowej oddziałów NATO.

Jeśli oceniać brukselskie obrady miarą trwających procesów odprężenia — nie mogą one zadowalać, jeśli porównywać z poprzednimi — dostrzec można pewną korzystną ewolucję stanowisk.

Z brukselskiego, wąskiego forum przenieśmy się teraz na szerokie, międzynarodowe — do ONZ. Zgromadzenie Ogólne uchwaliło właśnie rezolucję, wzywającą Izrael do zapewnienia świata, że państwo to będzie przestrzegać zasady wyrzeczenia się aneksji terytoriów przy użyciu siły. Rezolucja nie uznaje zmian, jakie wprowadził Izrael na okupowanych ziemiach arabskich, i wzywa do ich anulowania. Pokój na Bliskim Wschodzie wymaga wycofania wojsk izraelskich z zajętych przemocą terenów i wstrzymania się od wszelkich aktów gwałtu przez każdy kraj tego regionu. Niezbędne jest także respektowanie praw Palestyńczyków.

Rezolucja Zgromadzenia Ogólnego, przyjęta większością 86 głosów przy 7 przeciw i 31 wstrzymujących się, jest potwierdzeniem stanowiska ONZ wobec konfliktu bliskowschodniego i dróg jego rozwiązania, wyrażonym w znanej rezolucji Rady Bezpieczeństwa. Jest to więc akt polityczny dużej wagi.

* * *

Na tym miejscu zajmujemy się zazwyczaj rokowaniami i negocjacjami o szerokim zasięgu. Uczyńmy dziś wyjątek i pomówmy nieco o dwóch rokowaniach dwustronnych, o których nie jest głośno w świecie, choć liczą się w procesie odprężenia. Mamy tu na myśli rozmowy indyjsko-pakistańskie i amerykańsko-kubańskie.

W lipcu Indie i Pakistan osiągnęły porozumienie co do niektórych spornych spraw. Jednak realizacja jego napotykała trudności. Toczyły się więc rozmowy, uszczegółowiające porozumienie z Simli. Ostatnio nadeszły informacje, z których wynika, że impas został przełamany i osiągnięto zgodność poglądów na temat linii kontroli w Kaszmirze. W następstwie tego obie strony powinny wycofać swe wojska z terytorium strony przeciwnej (wojska indyjskie kontrolują ok. 13 tys. km kw terytorium pakistańskiego, a pakistańskie ok. 400 km kw terytorium indyjskiego). Obserwatorzy oczekują, że przełamanie dotychczasowego impasu w rokowaniach indyjsko-pakistańskich powinno utorować drogę do uznania przez Pakistan państwa Bangladesz, reemigracji ludności i repatriacji jeńców wojennych oraz nawiązania stosunków dyplomatycznych między Indiami i Pakistanem. Stworzyłoby to nową sytuację polityczną na subkontynencie indyjskim. Zwłaszcza, że Pakistan wycofał się z paktu SEATO i — być może — zrezygnuje także z udziału w bloku CENTO.

Optymizm wyrażają komentatorzy również co do przebiegu rokowań amerykańsko-kubańskich, które prowadzone są za pośrednictwem ambasadorów szwajcarskich. Dotyczą one uprowadzania samolotów i statków, ale mogą być rozszerzone i na inne wspólnie interesujące tematy. Waszyngton zaprzecza wprawdzie, że dąży do „generalnego zbliżenia" z Kubą poprzez zmodyfikowanie dyplomatycznych i gospodarczych stosunków, ale dość powszechnie nie wyklucza się możliwości złagodzenia sankcji wobec wyspy. Agencja Reutera uważa np. niemal za pewne, że Waszyngton stopniowo będzie zmuszony likwidować bariery, które przed laty sam wzniósł.

W. SŁAWSKI

Z KRAJU

PO BARBURCE. Tradycyjnie jak co roku obchodziła górnicza brać swoje święto, Barburkę. Nie tylko na Śląsku i Zagłębiu, ale w całym kraju, bo pojęcie górniczego zawodu rozszerzyło się na cały przemysł wydobywczy. Centralne uroczystości odbyły się w Zabrzu z udziałem 2,5 tysiąca najbardziej zasłużonych górników, reprezentantów ponad 600-tysięcznej rzeszy pracowników tego „zawodu ludzi pracowitych". Tradycyjnym też zwyczajem w uroczystości wzięli udział przedstawiciele najwyższych władz partyjnych i rządowych z Edwardem Gierkiem. I Sekretarzowi KC złożono meldunek o wykonaniu dodatkowej produkcji w ramach akcji „20 miliardów": prawie milion ton ponad plan wydobędą górnicy do końca roku! Po raz pierwszy w historii, górnicy polscy wydobędą w br. 150 milionów ton węgla.

POSIEDZENIE BIURA POLITYCZNEGO KC. W dniu 5 bm. BP rozpatrzyło wytyczne w sprawie polityczno-organizatorskiej działalności po VII Plenum KC PZPR. Ustalono, że rząd wniesie pod obrady Sejmu projekt uchwały mającej na celu stworzenie zespołu środków dla zapewnienia realizacji uchwał KC w sprawach młodzieży.

BP postanowiło zwołać w połowie stycznia 1973 r. krajową naradę aktywu partyjno-gospodarczego, poświęconą ocenie wyników społeczno-gospodarczych br. i wytyczeniu zadań na rok 1973.

DZIEŃ ODLEWNIKA. Ta ważna gałąź polskiej metalurgii liczy ok. 80 tys. pracowników. W przeddzień „Dnia Odlewnika" E. Gierek przyjął 15-osobową delegację, która przedstawiła aktualne problemy swego przemysłu. Podczas spotkania podkreślono, że w czasie ostatnich dwóch lat dokonał się znaczny postęp w odlewnictwie, do niedawna deficytowego w porównaniu do potrzeb przemysłu maszynowego. W br. przemysł odlewniczy wyprodukuje ponad 2,1 mln ton odlewów, czyli o przeszło 110 tys. ton więcej niż w roku ubiegłym.

50 LAT ZSRR. W całym kraju odbywają się liczne imprezy związane z 50 rocznicą powstania Związku Radzieckiego. M. in. odbyła się sesja naukowa PAN z udziałem Przewodniczącego Rady Państwa H. Jabłońskiego. Mieszkańcy stolicy spotkali się z przebywającą w Warszawie delegacją władz Moskwy.

II PLENUM CRZZ. Uchwałom VII Kongresu i zagadnieniom społeczno-gospodarczym w roku 1973 poświęcone było II Plenum CRZZ. Jednym z głównych tematów były sprawy związane z utworzeniem Narodowego Funduszu Ochrony Zdrowia. Zabierający głos w imieniu swoich środowisk zgłaszali poparcie tej idei. Plenum podjęło specjalną uchwałę, w której zwraca się do wszystkich ludzi pracy z apelem o podejmowanie dobrowolnych świadczeń na NFOZ.

PLENUM NK ZSL. Ostatnie plenum NK ZSL poświęcone było przygotowaniom do VI Kongresu ZSL. Zatwierdzono projekt uchwały kongresowej oraz propozycje zmian i poprawek w statucie oraz wyznaczono termin zjazdu stronnictwa na 2—4 kwietnia 1973 r.

Również jak informowała wcześniej prasa, w początkach przyszłego roku odbędzie się Kongres Stronnictwa Demokratycznego.

OSTATNIE PRZYGOTOWANIA. Od 1 stycznia 1973 r. wchodzi w życie reforma organów władzy i administracji na wsi i w małych miasteczkach. Na sesjach wojewódzkich rad narodowych podejmowane są uchwały o nowym podziale powiatów na gminy. Reorganizacja władz terenowych jest również przedmiotem posiedzeń wojewódzkich zespołów poselskich.

Również w pełnym toku prowadzona jest kampania wyborcza do komitetów gminnych PZPR.

JUBILEUSZ WIEDZY POWSZECHNEJ. 2360 tytułów o nakładzie ponad 44 mln egzemplarzy wydała „Wiedza Powszechna" w ciągu 25 lat swej działalności edytorskiej. Ponad 80 proc. wydawnictw stanowiły publikacje popularnonaukowe, przeważnie w seriach wydawniczych. W najbliższych latach WP specjalizować się będzie w wydawnictwach encyklopedycznych, leksykonach i książkach do nauki języków obcych.

LATAJ „LOTEM". To już nie tylko slogan reklamowy. PLL LOT zaczynają nadrabiać wieloletnie zaległości. Ponad 1,250 tys. pasażerów przewieziono w ciągu 11 miesięcy br., wykonując tym samym zadania planu rocznego. Przewiduje się, że do końca roku LOT przewiezie jeszcze 150 tys. pasażerów przekraczając roczne zadania o 13%.

WIĘCEJ PRAKTYKI. W takim duchu zreformowano programy szkolenia kierowców-amatorów, które będą obowiązywać w przyszłym roku. Kosztem zajęć teoretycznych, wątpliwie przydatnym amatorom, zwiększono ilość nauki jazdy z 12-tu do 18-tu. 50 procentowy wzrost czasu na naukę jazdy to rzeczywiście zmiana istotna i niewątpliwie wpłynie na poprawę bezpieczeństwa na drogach.

ANALIZA WARTOŚCI. Ministerstwo Przemysłu Maszynowego i Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Mechaników ogłosiły I Ogólnopolski Konkurs na osiągnięcie najlepszych efektów techniczno-ekonomicznych, uzyskanych dzięki zastosowaniu analizy wartości. Na zwycięzców (zespołowych i indywidualnych) czekają nagrody o łącznej wartości 1 mln zł.

NAGRODA PIETRZAKA. Po raz dwudziesty piąty przyznano nagrody im. Wł. Pietrzaka. Wśród tegorocznych laureatów znalazł się wybitny pisarz białoruski i zasłużony tłumacz literatury polskiej — Janka Bryl. Nagrody literackie w dziale krajowym otrzymali — poeta Bogdan Ostromęcki i krytyk literacki Zygmunt Lichniak.

KSZTAŁCENIE INŻYNIERÓW. Na posiedzeniu Rady Głównej NOT zastanawiano się nad rekonstrukcją systemu kształcenia kadr technicznych. W dyskusji stwierdzono, że w kształceniu istnieje nadmierna specjalizacja, np. w szkołach średnich uczy się młodzież w 281 specjalnościach, co w konsekwencji hamuje proces późniejszej adaptacji zawodowej. Podobnie jest na wyższych uczelniach technicznych, gdzie inżynierów kształci się w 156 specjalnościach. Wg projektu zmian kierunków studiów ilość ta zostanie zmniejszona do 66 szeroko pojmowanych specjalności. Wiele kontrowersji wzbudziło też kształcenie dwóch typów inżynierów. Zgłoszono propozycje by wprowadzić jeden tytuł, odpowiadający poziomowi obecnego magistra-inżyniera.

J. ŻAK

W POBLIŻU

◆ **CENTRALNE UROCZYSTOŚCI X OGÓLNOPOLSKIEGO DNIA ODLEWNIKA** odbyły się w Łodzi w ubiegłą sobotę. Głównym organizatorem była Fabryka Kotłów i Radiatorów w Łodzi oraz łódzki oddział Stowarzyszenia Odlewników Polskich.

Łódzki okręg przemysłowy stanie się poważniejszym ośrodkiem odlewniczym. Spowoduje to budowa dwu wielkich odlewni: w Praszce i w Sklęczkach koło Kutna. A następnie dalszych. Odlewnie otrzymają łódzkie fabryki, a m. in. ZM im. J. Strzelczyka „Ponar-Jotes" i „Wiama".

◆ **KAMPANIA WYBORCZA W PARTII TRWA.** Odbywają się aktualnie zakładowe konferencje partyjne, na których wybiera się nowe władze partyjne oraz delegatów na konferencje dzielnicowe i powiatowe. W Łodzi obradowali delegaci dużych zakładowych organizacji partyjnych, a m. in. w ZPB im. J. Marchlewskiego i ŁZPB im. Obrońców Pokoju. W tej ostatniej konferencji uczestniczył I sekretarz KŁ PZPR — B. Koperski, który jest członkiem tamtejszej organizacji partyjnej.

◆ **DOBRZE PRACOWALIŚMY.** Dobiega końca realizacja planów produkcyjnych. Jak wynika ze wstępnych informacji wiele fabryk Łodzi i województwa łódzkiego wykonało już swoje plany produkcji i dają obecnie dodatkową produkcję. Dla niektórych przedsiębiorstw jest to również produkcja, jaką dostarczą odbiorcom poza zobowiązaniami, podjętymi w ramach zgłoszeń do „Banku 20 miliardów".

Dobre wyniki ma też budownictwo w województwie łódzkim i to zarówno mieszkaniowe, jak i przemysłowe, choć w tym ostatnim przypadku nie odbędzie się bez „poślizgów", czyli inaczej niektóre przedsiębiorstwa nie wykonają prac, do wykonania których zobowiązały się, a które będą musiały wykonać w przyszłym roku. Będą to jednak niewielkie „poślizgi".

◆ **W MUZEUM SZTUKI WYSTAWA JAPOŃSKIEJ GRAFIKI.** Łódzkie Muzeum Sztuki znane jest z międzynarodowych kontaktów. Tym razem zaprezentowało 102 prace 44 japońskich grafików. Dano przegląd aktualnych kierunków w grafice Japonii.

Wystawa w styczniu 1973 r. będzie przeniesiona do Krakowa, w lutym — do Warszawy, a marcu — do Katowic. Radzę więc zwiedzić ją póki czas, bo warto.

Od 15 grudnia br. Muzeum Sztuki w Łodzi pokaże inną oryginalną i interesującą wystawę. Będzie to wystawa projektów... **zabawek dla dzieci**, wykonanych przez 10 artystów z różnych krajów. Dzieci, które niewątpliwie będą z zainteresowaniem zwiedzały tę wystawę, otrzymają do wypełnienia ankietkę, a między uczestników ankietki Muzeum Sztuki planuje rozlosowanie jednego kompletu zabawek.

◆ **IX ŁÓDZKIE SPOTKANIA TEATRALNE** — tradycyjnie już organizowane przez Zrzeszenie Studentów Polskich. Przed łódzką publicznością wystąpią tym razem studenckie teatry z Krakowa, Wrocławia, Torunia, Lublina, Gliwic, Legnicy i oczywiście Łodzi.

◆ **KOLEJNY SUKCES „SEMAFORA".** Tym razem jest to sukces innego rodzaju. Nie nagrodzono żadnego filmu. Po prostu „Semafor" otrzymał propozycję pokazania swojej wystawy scenografii do filmów animowanych na festiwalu filmów krótkometrażowych w Annencey we Francji. Wytwórnia otrzymała też zaproszenie z NRD, gdzie również zainteresowano się scenografią „Semafora".

◆ **NASZA KOCHANA KOMUNIKACJA.** Nie tak dawno temu musiałem pojechać służbowo do dzielnicy przemysłowej na Teofilowie. A że jechałem ze śródmieścia wsiadłem więc w jeden z tramwajów tam zdążających. Niestety, przy skrzyżowaniu ul. Zachodniej z Lutomierską stwierdziłem, że gdzieś dalej na trasie nastąpiła awaria i trzeba szukać innych środków lokomocji. Przesiadłem się na autobus jadący ul. Lutomierską, aby przy ul. Kasprzaka przesiąść się na inny i dojechać do celu. Cała ta podróż zabrała mi godzinę czasu. A przypomniałem ją sobie przy okazji lektury „Expressu Ilustrowanego", w którym reporter relacjonował swoje perypetie z podróży autobusami do tejże dzielnicy przemysłowej na Teofilowie.

Co ciekawsze sprezentował on opinię kilku pracowników, którzy codziennie dojeżdżają do pracy na Teofilowie i którzy utrzymują, że jadą do śródmieścia szybciej tramwajami niż... pośpiesznymi autobusami. A logika nakazywałaby sądzić... Ale co logika ma wspólnego z komunikacją?

◆ **DLACZEGO URSZULA SIPIŃSKA NIE WYSTĄPIŁA W PIOTRKOWIE TRYBUNALSKIM?** No właśnie, dlaczego? Mógłbym zorganizować wśród Czytelników mały konkurs, prosząc o listowne odpowiedzi, ale nie byłoby to fair. Bowiem tajemnice nagłego wyjazdu z Piotrkowa Tryb. znanej piosenkarki Urszuli Sipińskiej zna „Gazeta Ziemi Piotrkowskiej", a ja poznałem tę tajemnicę za gazety tej pośrednictwem.

Po znanym już w całej Polsce wydarzeniu z Radomska, które to miasto nie ma jakoś szczęścia do artystów, mamy teraz nową sensację — nagły wyjazd Urszuli Sipińskiej w momencie, kiedy sala „Piotrcovii" zapełniała się sympatykami tej piosenkarki. Urszula Sipińska zdobyła ostatnio kilka nagród i zaczęła się bardzo cenić. Odmówiła występu w sali, w której — jak donosi „Gazeta Ziemi Piotrkowskiej" — temperatura powietrza wynosiła 16 stopni C powyżej zera, a w szatni była temperatura 17 stopni C.

Trzy dni wcześniej — jak donosi dalej „GZP" — w identycznych warunkach w sali tej występowali: Zdzisława Sośnicka, Zofia i Zbigniew Framerowie i Adam Zwierz. Organizatorzy imprezy, w której nie wystąpiła Urszula Sipińska skierowali do Ministerstwa Kultury i Sztuki protestacyjne pismo. I słusznie. Ale czy z tego powodu Urszula Sipińska powróci do Piotrkowa Trybunalskiego, aby odzyskać straconą sympatię miłośników piosenki? I czy jej na tej sympatii zależy? Nie umiem odpowiedzieć sobie na te pytania.

◆ **ZAKODOWANY ADRES.** Teraz już nie będziemy pisali na kopercie tylko: Jaś Kowalski, Warszawa, ul. Niecała nr jakiśtam, ale obok miasta będziemy musieli postawić **NUMER ADRESOWY.** Taki numer można będzie znaleźć w specjalnie wydanej w tym celu książce: **„Spis pocztowych oznaczeń kodowych".** A wszystko to po to — jak pisze poczta do PT Klientów — **„aby przyśpieszyć przebieg korespondencji i innych przesyłek od nadawcy do adresata".** I dalej wyjaśnia, że **„system numeracji adresowej jest wyrazem postępu organizacyjnego i technicznego, bardzo upraszcza kierowanie przesyłek, umożliwia mechanizację i automatyzację tego procesu. Wprowadzono go już w wielu innych krajach."**

I tu złapałem się we własne sidła. Zawsze byłem za postępem i od dawna zalecałem branie przykładu z innych krajów, które wprowadzają postęp. A „pocztowych numerów adresowych" boję się, bo boję się bałaganu, jaki teraz powstanie. I co mam robić? „Kod pocztowy" ma wejść w życie od 1 stycznia 1973 roku, a od 15 grudnia 1972 roku zacznie się „szczyt pocztowy". To jeszcze zwiększy bałagan. Mam więc być za „kodem pocztowym", czy przeciw?

Może ten „kod pocztowy" poczcie ułatwi życie. Może później, jak ludzie się przyzwyczają i im będzie łatwiej, bo korespondencja będzie przychodziła szybciej. Ale na razie potwierdziła się tylko zasada, że nie umiemy nowości wprowadzić w przemyślany i racjonalny sposób.

M. RODAK

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), KAROL BADZIAK, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), MAREK WAWRZKIEWICZ, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji).

ROK NAUKI POLSKIEJ

Leki i leczenie interesuje wszystkich. Dlatego warto przekazać kilka wrażeń z odbytego w lipcu br. V Międzynarodowego Kongresu Farmakologów w San Francisco i porównać tendencje, które przejawiają się obecnie z tymi, jakie występowały przed trzema laty na IV Międzynarodowym Kongresie Farmakologów w Bazylei.

Oba kongresy różniły się znacznie. Nie tylko tym, że jeden — ten w Bazylei — odbywał się w centrali przemysłu farmaceutycznego, gdzie umieściły się największe i najsławniejsze firmy farmaceutyczne świata: CIBA-GEIGY, SANDOZ, HOFFMANN-LaROCHE, a drugi w San Francisco, w Kalifornii, gdzie nie ma wielkiego przemysłu produkującego leki, natomiast gdzie znajduje się szereg znanych laboratoriów fizjologicznych i farmakologicznych, które same leków nie produkują, lecz tworzą podstawy do zrozumienia ich działania na ustrój ludzki.

W POSZUKIWANIU NOWYCH DRÓG LECZENIA

CZESŁAW MAŚLIŃSKI

Oba kongresy różnił również klimat. I to zarówno ten naukowy, jak i ten fizyczny, uwarunkowany położeniem geograficznym. W Bazylei, położonej w bardziej płaskiej części Szwajcarii było duszno od murów i duszno od atmosfery starego, dostojnego i bardzo dostatniego miasta w którym wszystko jest tak dobrze zorganizowane, że nie można już się spodziewać niczego nieoczekiwanego, gdzie zażywni, dostatnio żyjący obywatele dożywają w spokoju swych lat i gdzie nie widzi się prawie młodzieży, bo nawet i młodzi sprawiają wrażenie podstarzałych.

Inne jest San Francisco. Przepięknie położone na wzgórzach oddzielających zatokę od oceanu, przewiewane wiatrami, zabudowane dziesiątkami tysięcy jednopiętrowych domków w stylu hiszpańskim, tworzy niepowtarzalną atmosferę. Atmosfery dotyczyły argumenty, które miały przekonać władze Unii Farmakologicznej o tym, że najlepszym miejscem na V Kongres będzie San Francisco. Opowiedział o tym dowcipnie przewodniczący Kongresu, profesor Robert Featherstone, że z braku innych ważnych przyczyn, argumentem najbardziej przekonującym był klimat — w San Francisco jest wiecznie wiosna.

I rzeczywiście była to wiosna dla farmakologii. Z San Francisco powiały inne wiatry. Pojawiła się nadzieja, że niedługo bardziej skuteczna stanie się diagnostyka wielu chorób i ich terapia.

Z nadzieją wiąże się optymizm i radość. Odnosi się wrażenie, że Kongres w San Francisco zapoczątkował nową epokę w rozwoju nauk farmakologicznych.

Nie tylko klimat obrad był niezwykle odświeżający. Niezwykły był również klimat fizyczny, przynajmniej dla nas, Europejczyków. Ranki chłodne — 8—10 stopni Celsjusza, pochmurno, niekiedy mglisto i i deszczowo. Około dziesiątej rano niebo się oczyszczało z chmur i stawało się tak czyste i błękitne, jak tylko można sobie wyobrazić najpiękniejszy błękit. Wraz ze słońcem przychodziło ciepło. A potem upał. Temperatura około południa podnosiła się do 30 stopni i wyżej. Po południu, około 6-tej, gdy słońce uciekało w kierunku oceanu i skrywało się za górami, robiło się chłodno i temperatura powoli spadała do kilkunastu, a potem do kilku stopni. I tak było codziennie, przez cały tydzień obrad. Podobno tak jest przez cały rok. Wielu mówi, że można się do tych wahań temperatury przyzwyczaić i nawet sobie chwalić klimat San Francisco. I jest w tym dużo prawdy, zwłaszcza, gdy się porówna klimat tego skrawka Kalifornii z tym, co się dzieje w innych miejscach tego kontynentu. Myśmy się zaadaptowali błyskawicznie i bardzośmy sobie San Francisco chwalili. Myślę, że sprzyjała temu odświeżająca atmosfera obrad i podniecające problemy.

W ciągu trzech zaledwie lat farmakologia wkroczyła w nową epokę.

Jeszcze w Bazylei dominowały klasyczne badania farmakologiczne leku. Przedstawiano wiele nowych środków leczniczych i wyniki testów sprawdzających ich działanie na organizm. W San Francisko klasycznych badań farmakologicznych już prawie nie było. Jeżeli się zdarzały, to pochodziły z krajów bardzo opóźnionych w badaniach naukowych: z Iranu, Pakistanu, Peru. **Badania farmakologiczne zostały zastąpione analizą procesów biochemicznych,** zachodzących w ustroju pod wpływem leku i badaniem procesów metabolicznych, [1]) zachodzących w warunkach fizjologicznych i patologicznych. Współczesna farmakologia stała się bliższa, a nawet nieodróżnialna od nowoczesnej fizjologii i biochemii. Analizuje procesy, rozgrywające się na poziomie cząstek chemicznych. Tak więc, w analizie funkcji ustroju zeszliśmy do poziomu molekularnego, a więc do poziomu, na którym regulacje dotyczą wzajemnych oddziaływań grup chemicznych, wbudowanych w struktury żywe.

Aby sobie wyobrazić, co oznacza poziom molekularny badań, wystarczy porównać te możliwości, które łączą się ze znanymi metodami optycznymi, z tymi, które można uzyskać przy pomocy nowoczesnych metod analizy biochemicznej. Poziomy analiz mikroskopowych, czy ultramikroskopowych, (w mikroskopie elektronowym) mają się tak w stosunku do badań molekularnych, jak powierzchnia powiatu czy wielkiego miasta do powierzchni jednego pokoju. I to wszystko — dodajmy — odczytywane jest z dużą ścisłością.

Nie wiem, czy w czasie całego tygodnia obrad farmakologów przedstawiono więcej niż kilka analiz działania farmakodynamicznego nowych leków. Natomiast podano setki nowych danych o mechanizmach działania leków dawno znanych i dawno wykorzystywanych. **Wykorzystywanych przy tym z lepszym lub gorszym skutkiem, tylko dlatego, że mechanizmy ich działania nigdy nie były poznane.**

Do wyjaśnienia mechanizmu działania wielu środków, w tym i leków, przyczyniło się odkrycie przed kilkunastu laty zupełnie nowych zjawisk fizjologicznych, których istnienia nikt do tej pory nie podejrzewał, **a które w inny niż dotychczas sposób każą objaśniać wszystko to, co dzieje się w organizmie.**

Do takich odkryć, które stanowią istotę przełomu, należy wykrycie przez E. W. Sutherlanda, [2]) układu cyklicznych nukleotydów i ich roli fizjologicznej. Te drobne cząsteczki chemiczne pełnią w ustrojach żywych uniwersalną rolę drugiego posłańca, przenoszącego informację zawartą w różnych substancjach krążących we krwi i znajdujących się w płynach tkankowych do elementów wykonawczych komórki. Funkcję pierwszego posłańca, donoszącego informację do błony komórkowej, pełnią cząsteczki hormonów innych związków biologicznych, cząsteczki leków itd. Krążą one we krwi lub znajdują się w płynach tkankowych tak długo, aż nie odnajdą na powierzchni błony takiego chwytnika (receptora), do którego pasują jak klucz do zamka. Gdy to się stanie, w błonie komórkowej uruchomiony zostaje mechanizm, który tłumaczy słowa języka hormonów czy leków — słowa niezrozumiałe dla elementów wykonawczych komórki — na inny język. Na ten język, którym posługują się wewnątrzkomórkowe narządy wykonawcze. Gdy dojdzie do połączenia cząsteczki np. hormonu z receptorem błonowym, gdy zamek został otworzony, polecenie przekazane przez pierwszego posłańca zostaje przejęte przez drugiego, który poprzez szereg etapów pośrednich przekazuje je do elementów wykonawczych w ich własnym języku.

Specjalizacja elementów wykonawczych komórki jest niezwykle wysoka. Właściwie są one zdolne tylko do jednej odpowiedzi: tak, gdy dochodzi polecenie, lub nie, gdy polecenie nie dotarło. Włókienko mięśniowe może się tylko skurczyć lub rozkurczyć. Żadnej innej funkcji wykonać nie może. Komórka wydzielająca kwas solny w żołądku, niczego innego, poza wydzieleniem, nie jest w stanie zrobić. Zasada wyspecjalizowanej odpowiedzi dotyczy wszystkich elementów wykonawczych. Istnieje zawsze tylko jeden wybór: tak lub nie — jeden bit informacji. Ale, i to należy podkreślić, polecenie musi być przekazane w języku własnym elementu wykonawczego.

Działanie leku na określone komórki polega na tym, że dzięki swojej budowie chemicznej, lek przypomina klucz, pasujący do zamka komórkowego. Właściwie nie są to klucze, lecz wytrychy, którymi zamek można otworzyć. Od precyzji budowy zamka i od cech wytrycha jedynie zależy, czy furtka w błonie komórkowej zostanie otworzona. Im bardziej zamek jest precyzyjny, czy wyrafinowany i im mniej dopasowany jest wytrych, tym prawdopodobieństwo otwarcia jest mniejsze. Na powierzchni błon jednych komórek mogą znajdować się liczne furtki, pozamykane na różne zamki, na powierzchni innych błon komórkowych jest tylko jeden rodzaj zamków. A więc dobór wytrycha czy wytrychów nie jest łatwy. I nigdy się prawie nie zdarza, aby lek działał tylko korzystnie: zawsze bowiem oprócz działania korzystnego na jedne komórki, wpływa również i na inne, pobudzenie czynności których, z leczniczego punktu widzenia nie jest korzystne. Nazywamy to działaniem ubocznym. Gdy jednak lek „otworzy" błonę komórkową, zawsze działa poprzez wykorzystanie drugiego posłańca lub grupy drugich posłańców. Jak się wydaje, jest to droga główna, jeśli nie jedyna.

Wykrycie mechanizmu przenoszenia informacji przez cykliczne nukleotydy — drugiego posłańca, przenoszącego do elementów wewnątrzkomórkowych informację o tym, że mają wykonywać swoją funkcję oraz poznanie części mechanizmów, powodujących zarówno wytwarzanie odpowiedniej liczby i odpowiedniego rodzaju posłańców, jak i ich niszczenia, otworzyło nowe perspektywy dla diagnostyki i leczenia licznych chorób. Podawano przykłady chorób, przyczyny których związane są z uszkodzonym mechanizmem wytwarzania lub z uszkodzonym mechanizmem rozkładania cyklicznych nukleotydów. Dziesiątki podstawowych czynności ustroju podlega regulacji przez cykliczne nukleotydy.

Łatwo więc sobie można wyobrazić, jak wiele mogło być niepowodzeń terapeutycznych wynikających z niewiedzy. Przecież dopiero przed kilkunastu laty odkryto pierwszy cykliczny nukleotyd, a przed kilku laty następny. Podejrzewa się istnienie dwóch dalszych.

Wraz z poznawaniem tych mechanizmów generalnych dokonuje się przełom w naukach fizjologicznych. Można więc mieć nadzieje, że zbliżamy się również do przełomu w medycynie klinicznej. Od klinicystów zależy, kiedy to nastąpi.

Dane o cyklicznych nukleotydach stanowiły główny nurt obrad. Drugim nurtem, który zaczyna się coraz bardziej wartko, jest gromadząca się wiedza o roli innych, drobnych substancji pochodzenia organicznego — peptydach, aminach [3]) biogennych i ich metabolitach, jako regulatorach wielu funkcji ustroju. Wszystkie te związki można zakwalifikować do grupy pierwszych posłańców. One właśnie wskazują, która komórka i który jej element ma odpowiedzieć „tak", a który ma zostać niepobudzony. Związki te są wytworami czynności komórek i są jednocześnie regulatorami ich funkcji. Dzięki nim komórki mogą się porozumiewać ze sobą i ze sobą współdziałać. Nie zawsze do tego celu potrzebny jest pośrednik w postaci układu nerwowego. Częściej wystarcza sąsiedztwo lub położenie na tym samym szlaku krwionośnym. **Coraz więcej jest danych, kwestionujących nadrzędną rolę układu nerwowego.** Wydaje się obecnie, że pogląd o czynności ustroju, opartej o zasady nadrzędności i podporządkowania, mówiący o tym, że są organy nadrzędne, których rolą jest kierowanie i decyzja i organy podporządkowane, które wykonują ich polecenia, przechodzi do historii. W ustroju panuje równorzędność. Nie ma narządów bardziej ważnych i mniej ważnych, nie ma gorszych i lepszych. Są po prostu inne.

Każda komórka przekazuje informacje o własnych czynnościach tym wszystkim komórkom, które zdolne są do ich odebrania. Zaczyna się zarysowywać ogólna koncepcja organizacji ustrojów żywych. Cechuje ją niezwykle wysoka specjalizacja funkcji elementów wykonawczych. Jest ona tak wysoka, że każdy element zdolny jest do wykonania jednej czynności, ale wykonuje ją doskonale. I każdy element znajduje się w stanie ciągłej gotowości do wykonania swojego zadania. Istnieje ponadto doskonały system ścian, drzwi i zamków, warunkujący izolację i uniezależnienie od bodźców przypadkowych. Istnieje wreszcie dobry transport (naczynia krwionośne, limfatyczne, płyny tkankowe), przenoszący wszelkie możliwe informacje zawarte w budowie chemicznej hormonów, peptydów, amin i ich metabolitów. Istnieje w końcu system alarmowej, szybkiej informacji docelowej, system nerwowy, działający podobnie jak centrala i sieć telefoniczna.

Badania nad drobnocząsteczkowymi związkami biologicznie czynnymi wkraczają w fazę analizy ich działania regulacyjnego. Przyszłość medycyny zależeć będzie również od poznania metabolizmu tych związków i roli regulacyjnej ich samych i ich metabolitów. One bowiem wskazują, która z olbrzymiej liczby komórek ma wykonać swoje zadanie. Określają więc specyfikę odpowiedzi. Sama odpowiedź i jej intensywność zależą od układu cyklicznych nukleotydów.

Jak widać w San Francisco powiało wiosną. Chciałoby się, by ta wiosna szybko dotarła do nas. Wiele zależy od możliwości technicznych, od niezwykle czułych i precyzyjnych urządzeń. Jeszcze więcej od precyzyjnego posługiwania się mózgiem, najdoskonalszym instrumentem, w który wyposażony jest człowiek. I od odwagi myślenia przede wszystkim.

Prof. dr hab. Czesław Maśliński jest kierownikiem Zakładu Amin Biogennych Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych PAN w Łodzi. Jest zastępcą przewodniczącego Komitetu Nauk Podstawowych Polskiej Akademii Nauk, członkiem i sekretarzem Międzynarodowego Klubu Histaminowego — Histamine Club — na kraje Europy Wschodniej, członkiem kilku zagranicznych towarzystw naukowych, m. in. Francuskiego Towarzystwa Fizjologicznego, Francuskiego Towarzystwa Alergologicznego, American Association for the Advancement of Science oraz członkiem wielu polskich towarzystw naukowych. Szereg lat pracował naukowo za granicą — w Kanadzie, Francji, Anglii i Szwecji w znanych laboratoriach naukowych.

Prof. Czesław Maśliński jest autorem blisko dziewięćdziesięciu prac naukowych, głównie eksperymentalnych, z których większość opublikowały zagraniczne pisma specjalistyczne. Obecnie, na zlecenie National Library, National Institutes of Health USA, prof. Maśliński przygotowuje obszerną monografię na temat histaminy. 4)

1) **Metabolity** — związki chemiczne powstające w organizmach żywych w wyniku przemiany materii.

2) Za badania te profesor Sutherland otrzymał w roku 1971 nagrodę Nobla z medycyny.

3) **Aminy** — związki organiczne zasadowe.

4) **Histamina** — związek organiczny występujący w różnych tkankach.

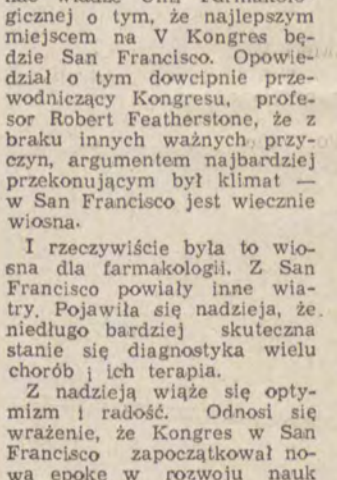

CO TO JEST „ZIEMIA ŁODZKA"?

Z przyjemnością biorę do ręki książkę, która w najmniejszym nawet stopniu wzbogaca naszą wiedzę o ziemiach wchodzących w skład województwa łódzkiego. Z wieloletnim opóźnieniem w stosunku do innych regionów ukazał się wreszcie na półkach księgarskich, wydany przez Wydawnictwo Łódzkie, album pt. „Ziemia łódzka". Album opatrzony jest wstępem pióra Tadeusza Papiera, zawiera 131 dość interesujących, czarno-białych zdjęć, przedstawiających ciekawsze zabytki architektury, krajobrazy, nowe zakłady przemysłowe, budynki mieszkalne, ośrodki kultury itp.

W zwięzłym i bardzo skrótowym wstępie podano skromny zasób faktów dotyczących historii i dnia dzisiejszego województwa łódzkiego, zwanego też „Ziemią Łódzką". Jeżeli pod pojęciem tzw. Ziemi Łódzkiej, a nie znam z historii takiego terminu, nie występuje on także w obecnym podziale administracyjnym, rozumie się obszar województwa łódzkiego, to wydaje mi się, że wydawcy albumu winni ukazać w nim to wszystko, co zasługuje na uwagę w całym województwie, a nie tylko w jego określonych, bliżej Łodzi położonych powiatach. Wydawcy albumu dyskryminują południowo - zachodnie obszary województwa. We wstępie napisano „...Ziemia Łódzka obejmuje prawie w całości historyczne ziemie: Łęczycką i Sieradzką, częściowo Rawską". O Ziemi Wieluńskiej zapomniano. W albumie nie znajdziemy też ani jednego zdjęcia Wielunia czy Wieruszowa, a więc miast, które leżą również w tzw. „...staropolskim zagłębiu historycznym". A przecież Wieluńskie posiada jedne z najciekawszych w skali ogólnopolskiej zabytki architektury i przepiękne krajobrazy. Wystarczy wziąć do ręki wydany przez Ministerstwo Kultury i Sztuki rejestr zabytków, by przekonać się, że rzeczywiście jest Wieluńskie „zagłębiem zabytków". Znajdują się tu perły polskiej architektury drewnianej, jak zabytkowe kościółki i dwory modrzewiowe w Ożarowie, Świątkowicach, Łaszewie, Popowicach, Grębieniu, Wierzbiu i szeregu innych miejscowościach. Tymczasem w albumie zamieszczono aż 7 zdjęć kolegiaty w Tumie, 22 zdjęcia z Łowickiego, 14 z Piotrkowskiego, żadnego zaś z Wieruszowskiego, a z Wieluńskiego tylko 1 (faktycznie 3). Jednym słowem, „Ziemia Łódzka" w ujęciu wydawców albumu to powiaty leżące blisko Łodzi.

Znajduje się też w albumie zdjęcie zatytułowane „Warta pod Krzeszowem, pow. Pajęczno". Konia z rzędem temu, kto odnajdzie nad Wartą Krzeszów. O ile mi wiadomo, nad Wartą leży wieś Krzeczów, lecz nie w powiecie pajęczańskim, tylko wieluńskim. Wydawcy albumu dokonali kolejnej zmiany w podziale administracyjnym województwa włączając Konopnicę w powiecie wieluńskim do powiatu sieradzkiego.

We wstępie sporo miejsca poświęcono Działoszynowi. Pozwolę sobie przytoczyć fragment, aby wykazać, jak „rzetelne" i „sprawdzone" są wiadomości podawane w albumie:

„A oto jeszcze jedno miasto, na które należy patrzeć w perspektywie rozwojowej. Jest to Działoszyn. Miał kiedyś Działoszyn świetne tradycje handlowe i rzemieślnicze (prawo miejskie otrzymał w XIII wieku), miał swój okres świetności, a potem zaczął chylić się ku upadkowi, by we wrześniu 1939 roku doczekać się swej śmierci. Hitlerowcy spalili miasteczko. Nowy rozwój miasta związany jest z zakładami przemysłowymi".

W tych czterech zdaniach jest wiele błędów i nieścisłości. Po pierwsze: Działoszyn nie jest miastem, lecz wsią. Owszem, posiadał kiedyś prawa miejskie, lecz utracił je w 1870 r., podobnie jak wiele innych miasteczek Królestwa Polskiego. Nie jest również prawdą, że prawa miejskie uzyskał Działoszyn w XII wieku, gdyż z badań świetnego znawcy dziejów miast Polski środkowej, doc. dr Ryszarda Rosina z Uniwersytetu Łódzkiego wynika, że w ogóle pierwsze wzmianki źródłowe o Działoszynie pochodzą dopiero z 1411 roku, zaś jako miasto występuje Działoszyn dopiero w 1412 r. Czyżby więc odkrycie nowych, nieznanych dotychczas historykom źródeł do dziejów Działoszyna? Nie miał wreszcie Działoszyn aż tak świetnych tradycji handlowych i rzemieślniczych, jak to wynika ze wstępu. Była to po prostu zwyczajna, uboga mieścina szlachecka, która nigdy w dziejach Rzeczypospolitej nie odgrywała znaczniejszej roli. Napisano również we wstępie, że „podobne metryki historyczne i współczesne... możemy ułożyć dla każdego miasta na ziemi łódzkiej". Gorąco namawiam, aby metryk takich nie układać.

dr TADEUSZ OLEJNIK
(Wieluń)

POLARNIK

Dalszy ciąg ze str. 1

ków tysięcy kilometrów wewnątrz kraju. Sezon wiosennych roztopów nie należy do sprzyjających w nawigacji arktycznej. Wykorzystuje się go więc na intensywne szkolenie i dokształcanie młodych kadr polarnych.

Rozglądałem się po mieszkaniu. Gabinet polarnika był czymś pośrednim między biblioteką a salką muzealną. Najwięcej miejsca zajmowały książki — wiele obcojęzycznych tytułów — przewaga klasyki światowej literatury pięknej i prac naukowych o Arktyce i lotnictwie. Uwagę przyciągała półka z książkami pióra Akkuratowa. Pierwsza z 1947 roku zawiera notatki z lotów polarnych 1936—1946, dalsze — również o losach ludzi północy, zmagających się z surową aurą. Przekłady na języki obce, w tym także niewielka książeczka wydana po polsku. W 1951 roku i japońskie luksusowe wydanie „Ujarzmionej Arktyki" z 1967 roku. O książkach u Akkuratowa można by wiele. To właśnie jednej z nich, słynnemu eposowi ludów Karelii i Finlandii zawdzięczał ocalenie życia.

— Głęboka noc. Do celu daleko. Cztery silniki latającej fortecy PE-8 pracują równomiernie. Październik czterdziestego pierwszego. Lataliśmy na głębokie tyły wroga — opowiada Akkuratow. — By czasu nie tracić — czytałem. Nagle książka podskoczyła w mym ręku, coś gorącego poczułem na twarzy pod maską tlenową. Krew. Fiński epos ranny — pomyślałem. I obudziłem się dopiero na szpitalnym łóżku. „Kalewala" uratował mi życie. W książce utkwiło dwadzieścia odłamków, w głowie tylko sześć, które zdołały przebić kartki eposu i maskę tlenową. Lekarz, który mnie operował, nie mógł się nadziwić szczęściu, jakie mnie spotkało.

Akkuratow nie lubi mówić o sobie. Choć go nagabywałem wielokrotnie o ordery i odznaczenia, a ma ich ponad trzydzieści, w tym jeden otrzymany osobiście z rąk Kalinina, zawsze zmieniał temat. Byłem więc szczególnie wdzięczny Jerzemu za zorganizowanie mi spotkania z człowiekiem północy w jego prywatnym mieszkaniu. Tu mówiły za siebie liczne pamiątki i fotografie. Akkuratow zaś nie mógł się wykręcić choćby od lakonicznych informacji na ich temat.

A pamiątek było sporo. Oto piękna szabla, stal damasceńska, rękojeść inkrustowana kością słoniową. Napis w języku staroperskim głosi, iż w XII wieku należała do szacha Dariusza. Dalej tekst zaciera się, można jedynie, choć z trudem odczytać: „pokonać wszystkich wrogów w imię Allacha!" Historia oręża chadza zadziwiającymi tropami. Na szabli wygrawerowano jeszcze jeden napis, świadczący o tym, iż w roku 1899 zawędrowała ona do Paryża i tam podarowano ją M. M. Antokolskiemu. Przedostatnim właścicielem tej pięknej broni była Wiera Muchina, której rzeźba robotnika i dziewczyny kołchozowej, stojąca u wrót Wystawy Wszechzwiązkowej w Moskwie, została rozsławiona przez „Mosfilm" na wszystkich kontynentach. Muchina podarowała szablę Akkuratowowi z okazji jego urodzin, na dziewięć dni przed kapitulacją Wielkiej Rzeszy Niemieckiej. „To dla was — powiedziała — za wasze udane loty bojowe". Z kolekcji białej broni Akkuratowa wypadałoby jeszcze wymienić średniowieczny topór turecki — dar uczniów: bohatera ZSRR Szczerbakowa i S. Mikojana (syna twórcy znanych konstrukcji lotniczych). Legenda głosi, iż topór ten jako trofeum wojenne spod Azowa, trafił do zbiorów Piotra I. Są także szable kozaków znad Donu i zwyczajny bagnet żołnierski, dzięki któremu Akkuratow zdobywał pożywienie, przedzierając się z rannym przyjacielem do swoich po zestrzeleniu przez Niemców.

Nie broń stanowi jednak o kolekcji człowieka północy, a fajki.

— Zaczęło się zaraz po otrzymaniu szlifów oficerskich — wspomina Akkuratow. — Później dopiero był klub fajkarzy. W nim poznałem Twardowskiego, Erenburga, Aleksego Tołstoja. Jednak na dobre do fajki przyzwyczaiłem się dopiero podczas regularnych lotów w strefie polarnej. Z Moskwy do Archangielska początkowo wypalało się cztery, pięć fajek. To była jedyna rozrywka, na którą mógł sobie wówczas pozwolić pilot. Dziś jest zupełnie inaczej. Pijemy herbatę, kawę, słuchamy muzyki. I odległości uległy znacznemu skurczeniu. W ciągu lotu można wypalić nie więcej, jak raz nabitą fajkę.

Kolekcja Akkuratowa liczy ponad pięćset eksponatów. Najstarszy, XVIII-wieczny pochodzi z Wysp Brytyjskich.

Na co dzień Akkuratow pali zwyczajne „Złote runo". W wieczór Nowego Roku, tytoń starej londyńskiej firmy „Lamber-Butler". Pudełko tego tytoniu liczy sobie 97 lat i ma własną historię. Akkuratow przywiózł je z jednej ze swych licznych wypraw polarnych, dokonywanych pod dowództwem Papanina. Przebywał wówczas wśród lodów nieprzerwanie przez trzynaście miesięcy. Wśród licznych obowiązków, jakie towarzyszyły mu na co dzień, znalazł jeszcze czas na żmudne poszukiwania śladów ekspedycji Siedowa (1912 rok). Przy okazji zainteresował się jedną z najbardziej doskonale wyposażonych ekspedycji początków XX stulecia, która doszła do skutku w 1904 roku i była finansowana przez Stany Zjednoczone. Ta ekspedycja amerykańska zdobyła się nawet na luksus wydawania własnej gazety polarnej.

— Na krańcu ziemi, jak się mówi często o Wyspie Rudolfa — wyjaśnia Akkuratow — **krzyżem ofiary śmiałych naznaczyli Amerykanie miejsce zmagań z białą śmiercią.**

U stóp tego krzyża omal nie zginął pod ciosami niedźwiedzia samotnika i sam Akkuratow.

— To był jedyny niedźwiedź, którego zastrzeliłem w swoim życiu.

Tytoń, z którym Akkuratow nie rozstawał się także podczas bojowych lotów na bombardowanie głębokich tyłów niemieckich, pochodził właśnie z odnalezionych szczątków wspomnianej ekspedycji amerykańskiej. Jeden z wysokich dyplomatów, zapalony kolekcjoner fajek, proponował Akkuratowowi za pudełko odnalezionego przezeń polarnego tytoniu, najnowszy model nieseryjnego samochodu osobowego, jaki sobie nabył w Stanach Zjednoczonych.

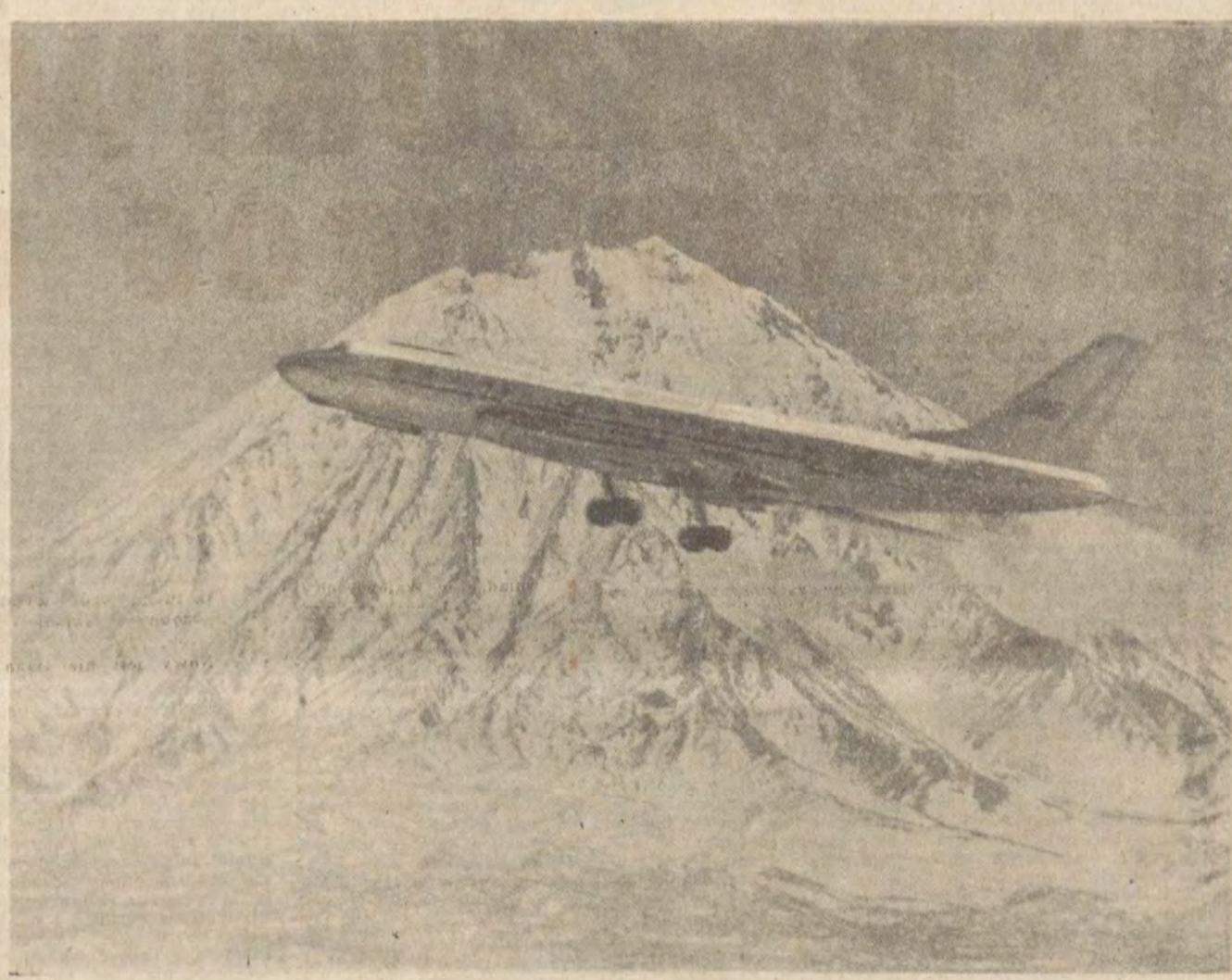

— Nie zgodziłem się — powiedział krótko Akkuratow nabijając fajkę. — **Palę ten tytoń tylko w szczególnych momentach. Ubywa go niepostrzeżenie, jak mego życia. A tyle chciałoby się jeszcze zrobić. Dlatego muszę oszczędzać.**

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła północ. Akkuratow o świcie odlatywał do miasteczka kosmonautów.

— A pierścień? — zagadnął Jerzy.

O pierścieniu słyszałem już wcześniej. Był jeszcze jednym niecodziennym trofeum w kolekcji Akkuratowa.

Polarnik odłożył fajkę. Podszedł do starej komody przypominającej mi stare szafy gdańskie i z szuflady wyjął małe tekturowe pudełeczko. W nim właśnie spoczywał, niczym specjalnym nie wyróżniający się srebrny sygnet.

— Proszę tu lekko nacisnąć — wskazał mi ledwo widoczną rysę. Nacisnąłem. Z pierścienia błyskawicznie wysunęły się dwa cieniutkie ostrza.

— Gdy go otrzymałem — wyjaśniał Akkuratow — **ostrza te zawierały śmiertelną dawkę kurary. To upominek od japońskiego generała lotnictwa, potomka samurajów, który dostał się do nas do niewoli. Okazuje się, że tylko niżsi oficerowie popełniali harakiri. Generał podarował mi pierścień, gdy zwalnialiśmy go do domu. „Niech panu przyniesie szczęście" — powiedział, objaśniając działanie mechanizmu i uprzedzając o zawartości śmiertelnej dawki trucizny na ostrzach.**

Brakowało mi jeszcze jednego ogniwa. Nie wiedziałem, co łączy Akkuratowa z Polską? Uzyskałem je podczas ostatniego spotkania ze słynnym polarnikiem przed moim powrotem do kraju.

— W roku 1945 byłem w Łodzi, zaraz po jej wyzwoleniu — opowiedział Akkuratow. **Lądowaliśmy fortecą B-17, gdzieś na przedmieściu. Pamiętam, że z oficjalnych osobistości podejmował nas wówczas pierwszy mer miasta. Mieszkaliśmy niedaleko lotniska, w drewnianej, jednopiętrowej willi w pobliżu jakiegoś jeziorka. Niestety, nie pamiętam ani nazwy ulicy, ani numeru domu. Opiekowała się nami pani Jadwiga Kowalska, której mąż — lotnik zginął podczas wojny. Miała czteroletniego syna i ojca, mistrza farbiarskiego. Gdyby udało się dowiedzieć co się z nimi dzieje...**

TADEUSZ DASZKIEWICZ

POLSKIE LALKI NAD ADRIATYKIEM

Rankiem, trzeciego dnia naszej wyprawy, przekroczyliśmy granicę Jugosławii, gdzie do autokaru, równocześnie z celnikiem, wsiadł uśmiechnięty Pero Mioc — dyrektor Zadarskiego Teatru Lalek. Wieczorem dojechaliśmy do Zadaru. Tam, po pierwszych powitaniach z zespołem Teatru Lalek, przystąpiliśmy do przygotowywania sceny w Teatrze Dramatycznym, gdzie następnego dnia mieliśmy grać pierwsze widowisko sztuki „Orły i Trąbki".

O godzinie drugiej nad ranem, przejęci i zdenerwowani, skończyliśmy próbę. To zdenerwowanie nie opuszczało nas ani na chwilę, tym bardziej, że gospodarze poinformowali nas, iż jako goście honorowi Festiwalu Teatrów Lalek Chorwacji, zorganizowanego właśnie z okazji 20-lecia Teatru Lalek w Zadarze, naszym spektaklem dokonamy otwarcia tego festiwalu. Godzina dziesiąta — na scenę docierają głosy z widowni, wypełnionej przez dzieci, młodzież i nauczycieli zadarskich szkół. Ostatnie dzwonki — przed kurtynę wychodzi Pero Mioc i dyrektor Marta Janic — na widowni zapada cisza. Marta Janic w ciepłych słowach powitała widzów i przekazała pozdrowienia od dzieci polskich, co przyjęto gromkimi brawami. Potem gong i rozpoczęcie spektaklu.

Napięcie nie opuszczało nas do końca, lecz trema mijała z każdą minutą, bo choć dzielił nas od widzów parawan, wyczuwaliśmy ich serdeczność, zrozumienie i uznanie dla naszego widowiska. Za spektakl publiczność podziękowała nam gorąco, byliśmy szczęśliwi.

Do popołudniowego spektaklu podchodziliśmy już z mniejszym zdenerwowaniem, ale niemniej przejęci. Po spektaklu na scenę wniesiono kwiaty, dużo kwiatów od dzieci i dorosłych. Minęły pierwsze emocje, widowisko zostało przyjęte serdecznie, o czym świadczyć może fragment recenzji, zamieszczonej w dzienniku „Narodni List" z 4.XI.1972 r.:

„Teatr „Pinokio" z Łodzi, jako specjalny gość Festiwalu, wystawił na scenie Teatru Narodowego w Zadarze piękne widowisko pt. „Orły i Trąbki". Nie było to jednak tylko widowisko lalkowe, raczej recital o historii Polski, zbiór najbardziej typowych pieśni i zabaw polskiego narodu w okresie kilku ostatnich stuleci. Widowisko o historii narodu polskiego (...) stanowi jednocześnie przykład, jak poprzez taniec, śpiew i poezję można uczyć widza historii narodu, rozwijać u dzieci miłość do ojczyzny, wolności i pokoju...".

Po miłym pobycie w Zadarze wyruszyliśmy do Sibeniku. W pięknym, barokowym Teatrze Dramatycznym, w dzień uroczysty dla każdego mieszkańca Sibeniku — 28 rocznica wyzwolenia tego miasta spod okupacji niemieckiej — rozpoczynamy widowisko. Mamy tremę, ogromną tremę. Dobrze, że jest z nami Drago Putnikovic — dyrektor Jugosłowiańskiego Festiwalu Dzieci. Jest to nieoceniony przyjaciel, dla każdego ma uśmiech i ciepłe słowo, potrafi rozładować napiętą atmosferę, jest naszym „dobrym duchem". Nasze cztery spektakle w Sibeniku przyjęte zostały owacyjnie.

Wczesnym rankiem żegnani przez przyjaciół wyruszyliśmy w drogę do Splitu gdzie mamy grać trzy widowiska. Przyjechaliśmy tu wieczorem. W sali Teatru Lalek „Pionier" ustawiliśmy dekoracje. Nasze spektakle przyjmowano z dużym zainteresowaniem. Po ostatnim widowisku żegnamy się z naszymi nowymi przyjaciółmi ze Splitu i wracamy do Zadaru, by już stąd wyruszyć w drogę powrotną do kraju. U bram miasta żegnała nas tablica z jakże wymownym napisem: „Sretan put! Vratiti SE!", co znaczy: „Szczęśliwej drogi! Przyjedźcie znów!". W duchu przyrzekamy sobie spełnić to życzenie!

Z. PARTYKA-WŁODAREK

ZAWISZACY

„Głównymi bohaterami tej książki są dwaj chłopcy. Urodzili się i mieszkali w Warszawie. W 1943 roku mieli po jedenaście lat. W tym właśnie roku wstąpili do „Szarych Szeregów", do drużyny zawiszaków, a w rok później, gdy mieli dwanaście lat, znaleźli się w szeregach partyzantów, gdzie pełnili odpowiedzialną służbę łączników i zwiadowców". Tak zaczyna się książka Józefa Krzyczkowskiego, zwiadowcy z „Szarych Szeregów", oparta na dokumentach i ustnych relacjach, nieco sfabularyzowana opowieść o walce najmłodszych uczestników polskiego Ruchu Oporu, harcerzy zgrupowanych w formacji, noszącej nazwę „Zawiszacy", chłopców od 12 do 15 lat.

Udział Harcerzy Polskich w kampanii wrześniowej, w walce podziemnej i Powstaniu Warszawskim, to bezprzykładne i wzruszające przykłady bohaterstwa i ofiarności. Walczyli w całym kraju — na Śląsku, w Katowicach, w Poznaniu, Bydgoszczy, Gdyni, we Lwowie... składali ofiarę życia, stojąc na wyznaczonych posterunkach do końca. Przygotowywali się do tej walki. W 1938 roku dziewczęta prowadziły szkolenie w zakresie służby sanitarnej i obrony przeciwlotniczej i gazowej, w Pogotowiu Harcerek, podporządkowanym władzom wojskowym. W sierpniu 1939 roku powstało Pogotowie Wojenne Harcerzy, również podlegające gestiom dowództwa wojskowego. Z chwilą wybuchu wojny harcerze przystąpili do wykonywania zadań bojowych. Kiedy zapadła decyzja poddania Warszawy, dowództwo harcerstwa podjęło decyzję o zejściu do podziemia. Najstarsi harcerze przeszli do różnych organizacji podziemnych, inni skupili się w konspiracyjnym harcerstwie, które przybrało kryptonim „Szare Szeregi" i wkrótce zasłynęło z ofiarności i bohaterskiej walki. Sieć konspiracji została rozbudowana. Powstały BS-y — Bojowe Szkoły i GS-y — Grupy Szturmowe. W 1942 roku powołano formację „Zawiszaków" — 12—15-letnich chłopców, których szkolono do służby wywiadowczej i łącznikowej. Tym najmłodszym właśnie książka Józefa Krzyczkowskiego składa mały, skromny hołd. Byli ofiarni, byli dzielni. Wypełniali postawione przed nimi zadania, często bardzo ważne i odpowiedzialne, w warunkach ciągłego zagrożenia. Wielu zapłaciło życiem. Po wielu bezimiennych pozostały w pamięci i w ocalałych dokumentach tylko pseudonimy... A przecież były to jeszcze dzieci...

Czytając książkę Krzyczkowskiego pamiętać trzeba, że działalność zbrojną, dywersyjna i wywiadowcza „Szarych Szeregów", a w tym i „Zawiszaków" jest czymś wyjątkowym. W kolebkach skautingu, w Anglii i Francji organizacja ta nie odegrała żadnej niemal roli wojennej. W 1944 roku, na parę miesięcy przed Powstaniem Warszawskim, „Szare Szeregi" liczyły w pionie męskim 8.500 chłopców, a w żeńskim 6.500 dziewcząt. Dla pełnego obrazu roli HP w walce z Niemcami trzeba by od tych cyfr odjąć liczbę mogił...

A. G.

Józef Krzyczkowski „Zwiadowcy z Szarych Szeregów" Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, W-wa 1972, cena zł 26.

„SÓL ZIEMI CZARNEJ"

Kazimierz Kutz jest bez wątpienia jednym z najwybitniejszych polskich reżyserów filmowych. Urodzony na Śląsku w roku 1929, studiował reżyserię w PWSF w Łodzi. Debiutował udanie „Krzyżem Walecznych", za który otrzymał nagrodę krytyki filmowej. Potem zrobił kilka filmów o różnej wartości, aż w roku 1969, po dwudziestu latach powrócił na Śląsk i tu zrealizował kolejno dwa filmy w oparciu o własne scenariusze: „SÓL ZIEMI CZARNEJ" i „PERŁĘ W KORONIE". Filmy przepiękne, które spotkały się z entuzjazmem krytyki w kraju i za granicą, lecz dość chłodnym przyjęciem widzów. Za „Sól" otrzymał K. Kutz nagrodę państwową I stopnia.

Obecnie Kazimierz Kutz debiutuje jako pisarz. Poszedł w pewnym sensie w ślady Tadeusza Konwickiego, ale w odwrotnej kolejności rzeczy. Pamiętamy bowiem, że Konwicki ekranizował swoje powieści. Kutz na podstawie scenariusza napisał powieść. Jaki to przyniosło efekt? Przedsięwzięcie jest oczywiście ryzykowne. W książce zostało to, co dominowało w filmie: poetycka otoczka w każdym szczególe i zdarzeniu, zrekonstruowanym przez autora ze znajomością rzeczy i wyczuciem epoki. Konwencja ballady dla opowiedzenia dramatycznych, powstaniowych losów rodziny Basistów była bowiem jedyną do przyjęcia. Stąd i konieczność archaizacji stylu, która nie razi staroświeckością, ale jest elementem nośnym w literackim przekazie. Zdajemy sobie więc sprawę i jako czytelnicy, i wcześniej jako widzowie filmu, z umowności tej konwencji.

Jeśli dodam, że Wydawnictwo „Śląsk" opatrzyło książkę zdjęciami z filmu, to trzeba przyznać, że otrzymaliśmy propozycję zarówno oryginalną jak i ciekawą.

(JAR)

Kazimierz Kutz „Sól ziemi czarnej", Wyd. „Śląsk", str. 180, cena 15 zł.

„INDIANIE Z MEKSYKU"

Fernando Benitez, krytyk, dziennikarz i powieściopisarz, w swojej wydanej w 1967 roku książce „Indianie z Meksyku" pisze, iż najistotniejszym problemem jego kraju jest problem twórczego połączenia najczystszych idei humanizmu z postępem technicznym w celu wydobycia z upodlenia tych części społeczeństwa, które doświadczają największego ucisku i nędzy. Ma, oczywiście, na myśli Indian, a więc tych, którzy nie posiadają praw, dyskryminowanych, najgorzej płatnych wyrobników, skazanych na strach, głód i prymityw. Sytuacja w dzisiejszym Meksyku niewiele różni się w istocie rzeczy od tej, jaka panowała w wieku XVI, gdy Hiszpanie wdarli się do Tenochtitlanu, serca imperium Azteków. To, co narzucono wówczas z korzyścią dla jednostek i wielkim uszczerbkiem dla mas tubylczych trwa w dalszym ciągu w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych naszego stulecia. Meksyk stoi wobec eksplozji demograficznej, a to w połączeniu z brakiem rynku wewnętrznego, z zahamowaniem procesów przemysłowych, z nieopłacalną produkcją surowców, z niską, prymitywną wręcz kulturą rolną, czyni zeń kraj na pół kolonialny, i to podwójnie, bowiem warstwy uprzywilejowane traktują Indian ciągle jako ludność skolonizowaną, a nie jako pełnoprawnych współobywateli i współwłaścicieli państwa i jego bogactw.

Jeden z uczestników wyprawy Cortesa, Justo Sierra, pisał: „Indianin był głównym bogactwem, więc Cortes rozdzielił Indian". I tak już zostało. Indianie i mieszańcy uprawiają ziemię, służą u ludzi zamożnych i żyją nędznie z nieopłacalnej pracy własnych rąk, wyizolowani ze społeczeństwa, wyrzuceni poza nawias, ogarnięci inercją umysłową. C. E. Trujillo pisał: „Nie ma meksykańskości dlatego, że Meksyk nie tworzy jednego narodu ani jednej kultury", a jeszcze wcześniej padały słowa: „Nadszedł czas, abyśmy się stali narodem w całym tego słowa znaczeniu: narodem meksykańskim".

Fernando Benitez w swej książce, która stała się bestsellerem, ukazuje obraz dzisiejszej sytuacji Indian meksykańskich na tle ich wspaniałej przeszłości, ich niebywałej kultury i sztuki. W części współczesnej opiera się przede wszystkim na własnych obserwacjach i badaniach przeprowadzanych na obszarze całego kraju. Część archeologiczna zaś i historyczna podaje obszerny materiał poznawczy, poparty licznymi reprodukcjami i zdjęciami.

Za motto swojej książki Benitez wziął słowa Angeli M. Garibay K.: „Niezliczone niespodzianki oczekują tego, co wniknie w duszę Indian, tych wczorajszych i dzisiejszych, jedyną drogą prowadzącą do niej: poprzez uczucie i miłość".

A. G.

Fernando Benitez „Indianie z Meksyku", PIW, W-wa, 1972, przełożyli: Grażyna Grudzińska i Waldemar Rómmel, cena 60 zł.

NAJBLIŻEJ JEST NAJDALEJ

KONRAD FREJDLICH

Fot. T. Zydler

Stara to prawda, że najtrudniej dostrzega się to, co znajduje się najbliżej. Uprzytomniłem to sobie w czerwonym jakby, ponad miarę przeszklonym autobusie, który miał nas powieźć na Ziemię Łódzką. Nas — to znaczy dwudziestu czterech pisarzy zrzeszonych w miejscowym oddziale Związku Literatów Polskich, co podaję na odpowiedzialność „Głosu Robotniczego", którego reporter wszystkich dokładnie policzył. Nie dziwmy się zresztą, była to podróż bez mała historyczna, bo pierwsza w dziejach łódzko-wojewódzkiej współpracy kulturalnej i już choćby dlatego wymagała prasowej oprawy. „Tak, województwo umiało się znaleźć", dobiega mnie przez warkot silnika i skoczną poranną radiową muzykę strzęp mimo woli podsłuchanej rozmowy moich sąsiadów. Ta zaszyfrowana formułka wyraża uznanie dla inicjatywy kierownictwa KW PZPR i Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, które zaprosiło łódzkich pisarzy na przejażdżkę przez ziemię znajdującą się w centrum Polski, tak nieodległą kilometrami a tak wciąż jeszcze zapoznaną przez literacką społeczność.

Karmimy się jesiennym pejzażem, aby już po chwili śniadać w Walewicach przed obrazem Lebarbiere'a: młodzieniec wsparty o konia, z psem myśliwskim. W reprezentacyjnej sali neoklasycystycznego pałacu, w którym przyszedł na świat Aleksander Floryjan Józef hr. Colona, naturalny syn Napoleona Pierwszego i Marii Walewskiej z Łączyńskich, czeka iście szambelański poczęstunek.

Obraz Lebarbiere'a nie kłamał. W miejscowej stadninie pokazują nam dorodne konie półkrwi anglo-arabskiej. Koń, który w kwestii polskiej odgrywał zawsze rolę niepoślednią, nie utracił bez reszty swego dawnego znaczenia. Został tylko odbrązowiony i osadzony w realiach świata współczesnego, który nie zna sentymentów. „Za wałacha półkrwi anglo-arabskiej stadnina otrzymała pięć i pół tysiąca dolarów — informuje wicedyrektor Michał Maciejewski — a rocznie sprzedajemy za granicę 30 koni, z których każdy wart jest od tysiąca do dwóch tysięcy dolarów". Słuchamy i mimo końskich sentymentów nie uważamy postępowania stadniny za wyprzedaż narodowych interesów. Wbrew temu, co twierdził ksiądz Benedykt Chmielowski w „Nowych Atenach", pierwszej polskiej encyklopedii, iż „koń co jest, każdy wie", nasza wiedza o jednym z najbardziej udomowionych czworonogów okazała się dalece niepełna, toteż pokaz koni prowadzonych przez masztalerzy w jednych ożywił wspomnienia młodości, w innych uczucie zażenowania z powodu własnego nieuctwa. Zwłaszcza, że rzadko co potrafi wzbudzić taki podziw jak rozpędzony koń, który pokonuje przeszkodę. A „Master" przechodził wszystkie bezbłędnie.

Dolaronośna hodowla koni to zaledwie cząstka problemów gospodarczych województwa łódzkiego, które zwłaszcza w latach ostatnich osiągnęło doskonałe rezultaty ekonomiczne w rolnictwie. Od kilku zresztą już lat, mimo mniejszych niż gdzie indziej nakładów, Ziemia Łódzka osiąga plony wyższe od średniej krajowej, a w ostatnim roku może poszczycić się poważnymi sukcesami w hodowli. Zmienia się także charakter tego, do niedawna, prawie tylko rolniczego regionu. W nowej rzeczywistości powstało na Ziemi Łódzkiej szereg nowych zakładów przemysłowych, takich choćby jak piotrkowska Fabryka Maszyn Górniczych, działoszyńska cementownia czy też łęczyckie zagłębie górnicze. Zresztą lista tych obiektów przemysłowych nieustannie się poszerza.

Przed południem jedziemy do nowo zbudowanych zakładów „Syntex" w Łowiczu. Funkcjonuje on już od trzech lat zatrudniając 3 tysiące pracowników, głównie kobiet, dodajmy, bardzo młodych, bo przeciętny wiek załogi to 23 lata. Architektura nowych zakładów przemysłowych w Polsce jest na ogół podobna, dużo szkła i betonu, za to w hallu fabrycznym niespodzianka: niemrawo bijąca fontanna. Gdyby ludzie zwijali się przy pracy równie niemrawo... Ale na szczęście ta fontanna nie jest wykładnikiem postawy załogi. Można się było o tym przekonać już przy wstępnej prezentacji zakładów, dokonanej przez ich dyrektora Mariana Ulrycha. Toteż i zarobki pracownicze są tu na ogół wyższe niż w podobnych zakładach branżowych. Choć są także kłopoty. Nowy jest nie tylko zakład, nowa jest także jego załoga, brakuje więc niekiedy tego, co się nazywa robotniczymi nawykami. Zresztą około tysiąca pracowników dojeżdża z okolicznych wiosek. Ale z wolna wytwarza się zwarty kolektyw, czego dowodem właśnie niezłe ostatnio wyniki produkcyjne. Sporo na temat formowania się nowej świadomości mógłby powiedzieć zakładowy socjolog i psycholog. Zasadnicza Szkoła Zawodowa oraz Technikum działające przy zakładach także mają niemały wpływ na podnoszenie kwalifikacji zawodowych. Jest to niezbędne, gdyż w nowych murach ustawiono najnowocześniejsze zagraniczne maszyny. Przed wejściem na hale produkcyjne rzuca się w oczy pouczający napis: „CZEGO NIE WYPRACUJESZ TEGO NIE WYGADASZ. I kiedy wędrujemy pomiędzy długimi szeregami automatów, można się łatwo przekonać, że załoga wzięła sobie to hasło do serca.

W „Syntexie" zabawne towarzyskie nieporozumienie: otrzymujemy pamiątki — łowickie lalki, turystyczne komplety kieliszków oraz breloczki do kuczy. Kieliszki otrzymują zupełni abstynenci.

Toteż kiedy przenosimy się do Domu Ludowego w Klewkowie, komentując po drodze to faux pas, zapominamy trochę o przeładowanym programie wycieczki. A przecież ów maleńki Klewków to wieś w pewnym sensie niezwykła, bo jej największym bogactwem jest społeczny entuzjazm. Opowiadał o tym barwnie i ze swadą przewodniczący Społecznej Rady Klubu, (która nas podejmowała w Domu Ludowym) kończąc swoje wystąpienie dobitnym stwierdzeniem: „Możecie się przekonać, są tu dokumenty, czy ja bluznuję czy nie bluznuję"? Bo historia budowy tego klubu przypomina nieco znane powiedzenie o rzemyku. Najpierw był po prostu wolny plac, na którym postanowili wznieść zbiorowym wysiłkiem placówkę kulturalną, a każdy mieszkaniec wsi wziął na siebie cząstkę obowiązków inwestycyjnych. I kiedy wreszcie wyrósł na tym placu piętrowy budynek, wszystkim zrobiło się trochę przykro, że prowadzi do niego kiepska, nieoświetlona droga. Zaczęli więc budować drogę i zelektryfikowali wieś, pomyśleli także o budowie wodociągu. Teraz będą drenować gleby, aby uzyskiwać wyższe plony, a powodzenie wszystkich dotychczasowych zamierzeń wyrobiło w ludziach takie społeczne odruchy, że nikogo nie trzeba przekonywać o potrzebie działania. W Domu Ludowym działa teatrzyk cieni, w którym wystawili „Wesele łowickie", gdyż w parze z procesami przeobrażania swojej wsi idzie u nich dbałość o tradycję. Zresztą potwierdzeniem tego szacunku dla przeszłości jest wystrój wnętrza klubu, łowickie szafy, ceramika i regionalne motywy wycinanek.

Wtedy właśnie uprzytomniłem sobie, że mimo częstych wyjazdów w teren, właściwie nie znam łódzkiego regionu, że kryje on w sobie wiele niespodzianek i wszędzie może człowieka spotkać nieoczekiwana, twórcza przygoda. Nawet obiad w pobliskich Zdunach był swego rodzaju niespodzianką, nie spodziewałem się bowiem znaleźć w niewielkiej osadzie tak dobrej kuchni i tak wysokiej kultury obsługi w gospodzie, która zazwyczaj kojarzy nam się z rozlanym na szynkwasie piwem, ziewającą bufetową i rojem unoszących się much. Od tej wiejskiej restauracji w Zdunach wiele mogłaby się nauczyć łódzka gastronomia, nawet ta kategorii najwyższej.

Ale niespodzianek było znacznie więcej. Oto jedziemy do kutnowskich zakładów farmaceutycznych „Polfa", które z maleńkiego laboratorium w r. 1945, drogą stopniowej rozbudowy przekształciły się w ogromną fabrykę. Kutno, słynące do tej pory z fabryki maszyn rolniczych „Kraj", stało się nieoczekiwanie poważnym ośrodkiem przemysłu chemicznego. Zakłady „Polfa" produkują dziś wiele leków, które do tej pory wytwarzano tylko za granicą, a najbliższy kierunek rozwojowy fabryki wyznaczają potrzeby rolnictwa: rosnące zapotrzebowanie na leki weterynaryjne i preparaty rolnicze. I co ważniejsze, technologie produkcji tych preparatów powstały na miejscu.

Tak wygląda alchemia społeczna ziemi najbliższej, oglądanej zza szyby wycieczkowego autokaru, materiał do refleksji, przemyśleń, zachęta do dokładniejszych studiów nad podstawą Polaków roku 1972. Mówiliśmy o tym na spotkaniu w Powiatowym Domu Kultury, gdzie problemy łódzkiej ziemi przedstawił I sekretarz KW PZPR Jerzy Muszyński oraz przewodniczący Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi Roman Malinowski. Bezpośrednia rozmowa z przedstawicielami władz przyczyniła się do pogłębiania obrazu najbliższego regionu, który oglądaliśmy tak pośpiesznie z pędzącego autobusu.

Powiedziałem na samym wstępie, że Ziemia Łódzka jest w pewnym sensie zapoznana przez literacką społeczność, ale chciałbym to stwierdzenie nieco skorygować. Nie będę się odwoływać do historii, chociaż jedna z najwspanialszych książek w polskiej literaturze, „Chłopi" Reymonta, powstał właśnie na Ziemi Łódzkiej i opowiada o jej ludziach, przypomnę próby nowsze, ostatnich sezonów, książki Ryszarda Binkowskiego, Tadeusza Chróścielewskiego, Tadeusza Papiera, Seweryny Szmaglewskiej, Jerzego Wawrzaka, w których znalazł odbicie koloryt tej ziemi.

Toteż wyjazd zbiorowy do łódzkiego regionu utrwala tylko zainteresowanie pisarzy problematyką, która dotyczy całego kraju, bo wolno przypuścić, że w Polsce znajduje się jeszcze nie jedna wieś przypominająca Klewków i nie jeden zakład przemysłowy, który ma sprawy podobne do łowickiego „Syntexu". Ważne jest, żeby sprawy te umieć dostrzec i przedstawić, czego oczywiście nie dokona się przy pomocy jednej, choćby tak doskonale jak nasza, zorganizowanej, wycieczki.

I przyznam się, na kolacji w gotyckim zameczku oporowskim, kiedy już odpłynęło zmęczenie tego bogatego w zdarzenia dnia ogarnął mnie niepokój, czy jako pisarze zrobiliśmy wszystko, aby dostrzec Polskę w jej codziennym wysiłku, a także Polskę przyszłości, czy na kartach naszych książek ukazaliśmy sprawy najistotniejsze i najważniejsze, dotyczące wszystkich i jako takie interesujące wszystkich? Czy zrobiliśmy także dostatecznie wiele dla wyrównania poziomu kulturalnego Polaków, dla wykreślenia z naszego języka terminu: „prowincja"? Wszak mimo wieloletniej tradycji Ogólnopolski Festiwal Poezji dopiero w tym roku po raz pierwszy przekroczył łódzkie rogatki i gościł także na ziemi najbliższego regionu. Różne były tego przyczyny, ale to nas przecież nie zwalnia od odpowiedzialności za prawidłową cyrkulację dóbr kultury. Toteż dobrze się stało, że zapoczątkowana niedawno łódzko-wojewódzka współpraca rozszerza się i wolno przypuszczać, że nasze wzajemne związki będą się jeszcze rozwijać. Bo choć to, co najbliższe znajduje się często bardzo daleko, to przecież nie ma takich odległości, których nie można przebyć dla wzajemnego zbliżenia.

LEKCJA Szekspira

Przez trzy wieczory przy wypełnionej po brzegi sali Teatru Narodowego w Warszawie występował gościnnie światowej sławy zespół angielski **Royal Shakespeare Company** ze Stratfordu nad Avonem ze spektaklem **„Snu nocy letniej"**. Tylko szczęśliwcy zdołali przebyć liczne przeszkody i uzyskać bilety na to przedstawienie. Wielu chętnych odeszło od kas z niczym, w licznych teatrach w Polsce — wobec minimalnej ilości biletów — aktorzy dokonywali ich podziału między siebie drogą losowania.

Jeżeli nawet przyjąć, że pewną rolę odegrał tu snobizm to przecież inny był główny magnes ściągający na te przedstawienia rzesze miłośników teatru. Przede wszystkim legendarna już niemal osoba reżysera, 47-letni **Peter Brook** zaliczany jest do najwybitniejszych w świecie twórców teatralnych obecnej doby. W sytuacji pewnego impasu przeżywanego przez teatr (przypisywanego wielkiej, atrakcyjnej sile filmu i telewizji) Brook jest jednym z tych, którzy przywracają najstarszej sztuce widowiskowej dawny blask.

„Mogę użyć pustej przestrzeni — pisze w swej wydanej w Nowym Jorku w 1968 roku książce „The Empty Space" — **i nazwać ją nagą sceną. Ktoś przejdzie w poprzek niej, ktoś inny będzie mu się przyglądał, i oto wszystko czego potrzeba, by miało miejsce działanie teatralne."**

Wystarczy pusta przestrzeń. Jakże to mało i jak dużo zarazem! Ile trzeba inwencji, by w tym vacuum zaaranżować sugestywną rzeczywistość teatralną! W przypadku „Snu nocy letniej" udaje się to Brookowi w pełni. Jemu i znakomicie zgranemu zespołowi aktorów ze Stratfordu.

Scena jest całkowicie pusta. Obudowują ją z trzech stron białe ściany, których góra tworzy jednocześnie galeryjkę z ustawionymi instrumentami perkusyjnymi dla orkiestry. Przez dwoje drzwi w głębi sceny wbiegają pędem aktorzy. Rozbrzmiewają ich wesołe okrzyki, powiewają w gwałtownych ruchach peleryny. Martwa scena natychmiast zaczyna żyć. Życiem umownym, lecz intensywniejszym, bardziej stężonym od tego, które otacza nas na co dzień.

Część aktorów wspina się zręcznie po drabinkach na galeryjkę, by zająć stanowiska obserwacyjne. Pozostaje Tezeusz z Hipolitą. Rozlegają się dźwięki gitary i perkusji, padają pierwsze słowa tekstu. Przedstawienie rozpoczęte.

Teatr w teatrze, a w nim jeszcze jeden teatr, i jeszcze jeden... Jakby włożone jedno w drugie coraz mniejsze pudełka. My — widzowie ogarniamy wzrokiem całość przedstawienia; aktorzy zgromadzeni na galeryjce odbierają to, co rozgrywa się na scenie, wreszcie w końcowej fazie spektaklu scena dzieli się dodatkowo na małą widownię i scenkę, na której rzemieślnicy ateńscy odgrywają przed księciem i jego weselnymi gośćmi **„Najrzewniejszą komedię i najokropniejszą śmierć Pirama i Tyzby"**. To pierwiastkowanie odsłania nam wielowarstwowość struktury spektaklu jak warstwice w geologicznym przekroju ziemi.

Klarowność odczytania komedii Szekspira przez inscenizatora jest imponująca. Czymże jest lasek ateński, w którym w ciągu krótkiej, dusznej nocy czerwcowej dzieje się tak wiele, gdzie majaki senne mieszają się z jawą, a świat realny przemieszany jest z domeną nimf i elfów Tytanii i Oberona? Czy nie jest to owa — jak to formułuje Freud w „Wizerunku własnym" — utajona sfera najskrytszych popędów i pożądań, miejsce gdzie **„poznaje się gorszące nieraz życzenie, które na jawie obce jest śniącemu i któremu też ze zdumieniem lub oburzeniem zaprzecza"?**

W lasku ateńskim w ciągu tej świętojańskiej nocy wszystko jest możliwe. Subtelna i zwiewna Tytania pokocha poczwarę o głowie osła — symbol zwierzęcej potencji seksualnej. Lizander płonący czystym uczuciem do Hermii zapała nagle do Heleny grzeszną, cielesną miłością, która przeminie zresztą szybko, jak podmuch gorącego wiatru. Demetriusz gardzący Heleną ogarnięty zostaje płomiennym pociągiem do niej... Te gwałtowne zakręty uczuć i namiętności usprawiedliwić może tylko sen, kiedy to słabnie kontrola nad głęboko ukrytymi i stłumionymi, zuchwałymi pragnieniami, i gdzie dostąpić one mogą spełnienia.

Brook buduje ten oniryczny świat środkami aktorskiego, a chwilami nawet cyrkowego widowiska. Cyrkowa sprawność w żonglerce parterowej i akrobacji na trapezach i na linach doprowadzona jest do perfekcji. (Wątpię, czy jakikolwiek zespół teatralny w Polsce stać byłoby na takie wyczyny. Może co najwyżej Teatr-Laboratorium Grotowskiego). A wśród tego zawrotnego ruchu nie ginie metaliczny, czysty dźwięk Szekspirowskiego słowa, które dociera do uszu widza w formie w pełni artykułowanej, nie odkształconej.

Erotyzm zakodowany przez Szekspira w „Śnie nocy letniej" — zwykle przez teatry nie odczytywany — tu, w przedstawieniu stratfordczyków wybucha z nie hamowaną, renesansową jurnością i gwałtownością. Śmiałość obscenicznego gestu, splatania się ciał aktorów w jednoznacznych pozach, mieści się w tej konwencji i nie budzi sprzeciwu. Wszystko to co reżyser i aktorzy nadbudowują nad tekstem Szekspira, nie przeczy mu, lecz go w pewien sposób uwspółcześnia i uwierzytelnia.

Norbert Wiener pisał w swej książce „Cybernetyka a społeczeństwo" że **„jeśli chodzi o wielkie, klasyczne dzieła literatury i sztuki, traciły one wiele ze swej wartości informacyjnej przez to, że ogół się z nimi zapoznał. Chłopcy w szkole nie lubią Szekspira, bo ten wydaje się im po prostu zbiorem często cytowanych powiedzeń".**

Powyższe słowa można z pewnością odnieść do wszystkich mdłych, powielanych według podobnego wzorca przedstawień „Snu nocy letniej" na scenach całego świata. Brook w swej wierności dla Szekspira (ani jeden wiersz tekstu nie został skreślony, nie ma żadnych przestawień ani przeinaczeń) bronił go przed banałem i nudą, wydobywając z jego utworu skrywane dotąd treści i przekazując je nam w mieniącym tworzywie widowiska teatralnego.

Kogo wymienić z wykonawców tego przedstawienia? Alana Howarda w podwójnej roli realnego Tezeusza i Oberona ze snu? Na pewno. Barry Stantona brawurowo kreującego postać Spodka? Gemmę Jones (Hipolita/Tytania)? Roberta Lloyda (Filostrat/Puk)? Philipa Locke'a (Egeusz/Pigwa)? Również. Ale wyróżniając tych aktorów, chciałoby się jednocześnie powiedzieć, że cały właściwie zespół zasłużył sobie na słowa najwyższego uznania. (Byłem na próbie spektaklu. Dało mi to smak klimatu, jaki panuje w zespole, pełnego, autentycznego zaangażowania. To daje rezultaty.)

Po zakończeniu przedstawienia aktorzy schodzą na widownię, część z nich dociera nawet na I i II balkon. W kostiumach, ale już jako osoby prywatne wymieniają przyjacielskie uściski dłoni z publicznością. Sen skończony, wracamy do życia na jawie. Może odrobinę lepsi, wyzwoleni choć w małej cząstce z dręczących nas kompleksów? Nie wiem. To pewne, że ściskaliśmy ręce stratfordczyków z uczuciem szczerej wdzięczności za tę piękną lekcję Szekspira...

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

William Shakespeare „Sen nocy letniej" (A Midsummer Night's Dream): reżyseria — Peter Brook; scenografia — Sally Jacobs; muzyka — Richard Peaslee, Feliks Mendelssohn; występy gościnne Royal Shakespeare Company w Warszawie.

Jabłka Kazimierza Borowca

Bardzo to trudne spędzić godzinę, półtorej, sam na sam z publicznością. Trudne, jeśli oczywiście nie chodzi o chałturę — trudne, jeśli ma się zamiar utrzymać słuchaczy, widzów, w nieustannym napięciu, nie pozwalając im na oderwanie się do tego co się dzieje na scenie, nawet przez chwilę. W monodramach najpełniej się chyba sprawdza aktorska indywidualność — nie wystarczy interesujący tekst, nie wystarczy drobiazgowe opracowanie interpretacji, działań aktorskich. Dla pełnego sukcesu trzeba mieć w sobie jeszcze coś, co bywa najtrudniejsze do przeanalizowania, opisania w recenzjach — dar koncentrowania uwagi na swojej osobie, hipnotyczną wręcz zdolność kierowania widownią.

Kazimierz Borowiec, pozyskany w tym sezonie przez Teatr Nowy, zyskał już sławę, zdobywając I nagrodę na ubiegłorocznym przeglądzie teatrów jednego aktora we Wrocławiu. W Łodzi ze swym monodramem „A jak królem, a jak katem będziesz", opartym o głośną powieść Tadeusza Nowaka, występuje od niedawna. Z tej też okazji zobaczyłem go po raz pierwszy. Rozgłos uczyniony wokół jego pracy okazał się nie przesadzony.

Borowiec sam wybrał tekst, sam go przykroił, sam opracował inscenizację. Prozo-poezja Nowaka (poezja poprzez zmetaforyzowany, pełen artystycznej finezji język), wcale, wbrew pozorom, nie jest „samograjem". Czyhały na aktora różne pułapki — począwszy od strywializowania języka, niepełnego wyrażenia jego wielowarstwowości, aż do przejścia na stylizację, udawaną ludowość. Borowiec, idąc śladem Nowaka, starał się odnaleźć sceniczne sposoby wyrażenia owego czegoś, co sprawia, że powieść którą obrał za przedmiot aktorskiej obróbki, głęboko osadzona w obyczajowości, ba, wiejskiej rodzajowości nawet, jest uniwersalną parabolą człowieczego losu przełamanego przez wojnę. Kostium, rekwizyt, zasady ich użycia — one już określają stylistykę, poetykę, „język" tego przedstawienia. Ubrany jest Borowiec w ni to chłopskie, ni to takie w o g ó l e spodnie i takąż w o g ó l e koszulę, bez kołnierzyka, bez żadnych dodatkowych akcesoriów, ozdób regionalnych itp. Nie podkreśla kostiumem w sposób wyraźny środowiska — ubrany jest najprościej, jak tylko najprościej może się ubrać człowiek, mężczyzna, w naszej długości geograficznej. Rekwizyty — jabłka, żywe, kolorowe jabłka, które można gryźć, kroić, rzucać nimi, rąbać bagnetem, są w rękach Borowca jabłkami, głową matki, piersiami dziewczyny. Manipuluje nimi aktor jak słowami — nie narzucając nachalnie ukrytych znaczeń, funkcji, tylko je sugerując; w sposobie ogrywania rekwizytów nie ma tu ostentacji, jest ruch, gest machinalny, jakby od niechcenia, głęboko przeżyty, naturalny, a przecież, sądzę, także wykonycypowany wynikający z precyzyjnej analizy tekstu, jego stylistyki. Również w sposobie podawania tekstu unika Borowiec nadmiernej rodzajowości, podkreślania cech środowiskowych. Jest po prostu młodym chłopakiem, później dojrzałym mężczyzną. Nie bawi się słowem, na co by tu niejednemu przyszła ochota; napięcie wywołuje dobrze „rozpisanym", szybko zmiennym rytmem wypowiedzi, ściśle związanym zresztą z charakterem sytuacji w jakich znajduje się bohater, a więc znów wynikającym z dokładnej analizy prozy Nowaka.

Trudno zresztą w przypadku tego monodramu oddzielać aktorskie przeżycie od czysto intelektualnych przemyśleń aktora — adaptatora — inscenizatora, spontaniczność od techniki. Wydaje mi się, że tym razem wszystkie te źródła twórczej inwencji zespoliły się u Borowca w sposób idealny, wzajemnie na siebie oddziaływując. Otrzymaliśmy w wyniku wzorcowy pokaz pracy aktora pozostawionego na scenie samemu sobie.

Fot. St. Dutkiewicz

Czy równie dobrze umie Borowiec pracować w zespole, czy nie narzuca swej indywidualności, nie kieruje świateł reflektorów wyłącznie na siebie? To się pokaże. Samotna praca aktora, tu imponująca w efektach, kryje w sobie także niebezpieczeństwa. Pierwsze z nich, to nieumiejętność podporządkowania się kolektywowi teatralnemu, podświadomy sprzeciw, gdy trzeba się stać cząstką teatralnego mechanizmu.

Pozostaję z nadzieją, że Borowiec, przy wszystkich swoich zdolnościach, nie jest egocentrykiem.

JERZY KATARASIŃSKI

SPÓR O KRYTYKĘ

Spór o krytykę artystyczną w Łodzi jest — ogólnie biorąc — kontynuacją sporów starych jak sama sztuka. Jak wszystkie poważne sprawy, rzecz cała zaczęła się od narady. Potem dwaj publicyści wypowiedzieli swoje racje na łamach „Odgłosów". I właściwie można by całą sprawę zakończyć. Ale, gdy dwóch mówi to samo, to nie jest to samo. Zatem dołączył się głos trzeci, potem czwarty... trudno przewidzieć, co będzie dalej. Mój stosunek do krytyki artystycznej jest mniej więcej taki, jak do każdej twórczości. Albo się to umie robić, albo nie. Można napisać — jak Boy — dwudziestowierszową notatkę w porannej gazecie i będzie to ambitna krytyka. A można także zapisać całą kolumnę w poważnym tygodniku i będzie to tylko pretensjonalne ple-ple. A przecież — jak to już sformułował stary Saint-Beuve — „krytyka jest ciągłą inwencją i ciągłym tworzeniem". I pisze dalej, że krytyka jest poznawaniem różnych umysłów, a nie rządzeniem nimi. „Krytyka jest lornetką — nie rózgą".

Typowy jest w naszej krytyce ów ton oficjalności i poczucia, że reprezentuje się tzw. rzesze odbiorców. Guzik prawda. Każdy dobry krytyk reprezentuje przede wszystkim siebie — swoje racje estetyczne, swoje upodobania. I tylko w ten sposób trafia do odbiorcy myślącego i czującego podobnie. I nie trafia do odbiorcy, który ma inne spojrzenie. Do tego, który ma inne zdanie, trafi z kolei inny krytyk.

No, dobrze, powie ktoś, ale co zrobić z odbiorcą, który własnego zdania nie ma. Uważam, że takim odbiorcą krytyka nie powinna zawracać sobie głowy — pozostawiając go działaniu propagandy. Bo są to dwie różne sprawy: **krytyka artystyczna i propaganda artystyczna.** Podstawowe nieporozumienie tkwi, moim zdaniem, w tym, że się te dwa gatunki **utożsamia.** Krytyka artystyczna zajmuje się oceną dzieła — propaganda zajmuje się potencjalnym odbiorcą, którego chce zachęcić, lub zniechęcić do dzieła. Wolno więc propagandzie (czy mówiąc inaczej — reklamie) stosować laurki, bo przecież nie chodzi tu o prawdę, lecz zachętę do kupna pewnych wartości. Nie znaczy to, oczywiście, że krytyka wolna jest od roli propagatora twórczości, ale musi to być rola spełniana nie z pozycji mód i tendencji, ale z pozycji osobistego zaangażowania w konkretne dzieło, czy rodzaj sztuki. **Czyli — nie krytyka, lecz t w ó r c z o ś ć k r y t y c z n a.**

Henry Bars pisał: **„Prawdą jest również, że krytyk naraża się na śmieszność, kiedy stara się dyrygować literaturą i pokazywać pisarzom, jak powinni pisać, chcąc otrzymać świadectwo zadowalającego poziomu: zasługuje wtedy na to, aby odnosić się do niego jak do beznogiego kaleki, który ludzi ze zdrowymi nogami chciałby uczyć chodzenia. Ta tendencja profesorska jest jednym z pochyłych zboczy krytyki (...)".**

Na tych pochyłych zboczach potykała się i potyka polska krytyka, z którą nigdy nie było najlepiej. Daleko nam do Francji, gdzie — jak pisze **Jan Parandowski — „pewne rodzaje sądów, pewne postawy są wręcz niemożliwie, gdzie zawsze obowiązuje takt wobec dzie-**

TEATR

DALEKO OD MELODRAMATU

Leonard Gershe (Anglik, mieszkający na stałe w Kalifornii) napisał „kasową" sztukę pt. „Motyle są wolne". Odwołał się w niej do sposobu bycia i wrażliwości współczesnego człowieka. Wątek fabularny można zawrzeć w kilku słowach. Młody, niewidomy chłopak, któremu despotyczna miłość matki-pisarki, zaczyna zbytnio ciążyć, opuszcza dom rodzinny. Poznaje dziewczynę, równie jak on zbuntowaną, zagubioną i szukającą swego miejsca w życiu. Co dalej — łatwo się domyślić: wielka miłość, przeszkody ze strony matki i szczęśliwe zakończenie.

Sztuka ta „chwyciła". Z tego też powodu sięgnął po nią również Teatr Nowy (Mała Sala), szczycący się do tej pory na ogół wartościowym i ambitnym repertuarem. „Motyle..." bez wątpienia cieszyć się będą powodzeniem, kto wie, czy nie na miarę „Trędowatej". Trzeba jednak przyznać, że twórcy tego spektaklu nie potraktowali go jako zło konieczne, niezbędne dla „ratowania kasy".

Reżyser — Lech Komarnicki ustalił aktorom najdogodniejsze sytuacje oraz sposób prowadzenia dialogu. Umiejętnie stonował te miejsca, w których bardzo łatwo byłoby aktorom „zwekslować" w stronę ckliwego melodramatu i uczynił z „Motyli" rodzaj „komedii sentymentalnej". Dzięki temu w przedstawieniu przeważają momenty humorystyczne.

Trudne zadanie miał do wykonania Marek Barbasiewicz, grający niewidomego Dona. Kalectwo, niemożność wspólnego zrozumienia się z matką i nieszczęśliwa z pozoru miłość — wszystko to groziło melodramatem. Barbasiewicz nie udawał niewidomego, starał się nim poczuć. Mimo kalectwa potrafił imponować młodością, urodą i dowcipem. Był ufającym we własne siły, czasem trochę lekkomyślnym, zbyt opryskliwym, lecz w głębi duszy bardzo wrażliwym i romantycznym chłopcem. Don potrzebował bliskiej, oddanej mu dziewczyny nie dlatego, że nie widział. Chciał mieć obok siebie osobę, z którą mógłby mówić szczerze o wszystkim, odczuwać jej miłość i opiekę, ale równocześnie i samemu czuć się potrzebnym.

Nadmierna, przesadna troska Pani Baker o los jedynaka była spowodowana przede wszystkim brakiem uświadomienia faktu, iż jej „mały Doni" stał się dorosłym mężczyzną i pragnie być szczęśliwym według swego własnego uznania. Izabella Pieńkowska stworzyła w tej roli bardzo wyrazistą, interesującą postać matki-pisarki. Była dystyngowana, wytworna, elegancka, ale i agresywna w swych uczuciach do syna. Jej egoistyczna, zaborcza miłość wynikała z obawy, aby jej syn, wychowywany dotychczas w cieplarnianej atmosferze i warunkach, nie posiadający żadnego zawodu, nie zagubił się w zetknięciu z brutalnym, bezwzględnym życiem.

Ukochana Dona, imieniem Jill (Janina Borońska), była w miarę lekkomyślna, beztroska, wesoła, roztargniona, lecz także wrażliwa i inteligentna. Jill, pragnąc być „wolna jak motyl" była początkowo zwolenniczką łatwych miłości. Ale i ona zaczęła odczuwać przesyt oraz znudzenie krótkotrwałymi miłostkami. Obudziło się w niej marzenie o innym uczuciu. J. Borońska przekonywająco ukazała tę przemianę w psychice i zachowaniu się Jill, zachodzącą pod wpływem prawdziwej, szczerej i spontanicznej miłości Dona.

Reżyser Ralph (Bogusław Mach) — zarozumiały, pewien siebie, uważający się za wybitnego współczesnego twórcę, istotę sztuki widział w seksie, pornografii i używaniu niecenzuralnych wyrażeń. B. Mach nałożył Ralphiemu na twarz maskę kabotyna, podkreślając tym kontrast między nim i Donem.

MIECZYSŁAWA WALCZAK

FILM

MŁODOŚĆ i KAMERA

Byłam i jestem zdania, że zatrważająca inflacja festiwali, przeglądów, sympozjów i innych saturnalii może raczej wypaczyć naszą pracę codzienną niż podnieść na wyższy szczebel naszą kulturę. I dlatego, przyznaję, raczej zwykła, nieposkromiona ciekawość niż głębokie przekonanie zawiodła mnie w progi łódzkiego Pałacu Młodzieży i kazała przesiedzieć dwa dni na twardym krześle tamtejszej sali kinowej.

Drugi Opat, czyli II Ogólnopolski Przegląd Amatorskiej Twórczości Filmowej Młodzieży Szkolnej skusił mnie, wyobraziłam sobie, że jest to najlepsza okazja do podpatrzenia nie tylko zainteresowań młodzieży i jej poglądów i umiejętności. Taki przegląd to także przegląd umiejętności, taktu i wiedzy opiekunów kół i klubów filmowych. To wreszcie sprawdzian tego, w jakim stopniu film przedziera się przez bariery biurokracji, przestarzałych poglądów i niedostatku, na ile kultura obrazu mogła utrwalić się w świadomości bardzo młodych twórców.

Tak więc na przeglądzie byłam, filmy oglądałam, dyskutowałam o nich z osobami wysoce kompetentnymi, i oto przyznaję publicznie, że była to jedna z najciekawszych imprez filmowych bieżącej jesieni.

Do konkursu zgłoszono 79 filmów. Komisja kwalifikująca uznała za słuszne dopuszczenie 45 pozycji, zrealizowanych na taśmie 8 i 16 mm, barwnej i czarno-białej.

Jedno tylko Liceum Ogólnokształcące przysłało 22 filmy, z czego 19 zakwalifikowano do konkursu. To był zdecydowany rekord przeglądu, rekord ilościowy, który zresztą powtórzył się w kategorii jakości. Sporo i to dobrych filmów przysłało Technikum Budowlane z Zakopanego. Pomysłowe i zróżnicowane filmy przysłał Białystok, Gdynia i Szczecinek. W dyskusjach wyszło na jaw, że koła filmowe mogą mieć ciekawe pedagogicznie i atrakcyjne formy działania.

Metody pracy amatorskich, szkolnych klubów filmowych to na pewno piękny temat do badań dla licznych specjalistów, zarówno dla pedagogów, jak dla działaczy Federacji Amatorskich Klubów Filmowych. Na przeglądzie łódzkim interesowały nas jednak bardziej wyniki tej pracy. A te są rewelacyjne.

Doprawdy, rewelacyjna jest zarówno rozpiętość zainteresowań młodych twórców, ich dojrzałość artystyczna i sprawność a nawet pewność w posługiwaniu się trudnym tworzywem filmowym. Niektóre z tych filmów osiągnęły wysoki poziom pracy operatorskiej i reżyserskiej — ale działo się to kosztem świeżości i śmiałości spostrzeżeń. Inne znów cierpiały na poważne schorzenia techniczne, jak nieostrość obrazu i zła czytelność dźwięku, ale rekompensowały to odwagą wchodzenia w trudne środowisko, kulturą, taktem i sercem. Mam tu na myśli filmy takie jak nagrodzony „Dom" i nie nagrodzona „Celira". Autorzy posługują się trudną formą wywiadu i autentycznych wypowiedzi bohaterów, upolowanych w tak trudnych środowiskach jak dom ludzi starych, czy obóz cygański. Trzeba mieć dużo odwagi, żeby w tak młodym wieku nie zatracić poczucia taktu i odróżnić zewnętrzną, powierzchowną egzotykę obrazu od tego co naprawdę w temacie jest ważne. A uczniowie z Pyskowic udowodnili, że to potrafią.

Po tych pochwałach dla Pyskowic nie był niespodzianką fak: przyznania im Głównej Nagrody Przeglądu w postaci Pucharu Ministra Oświaty i Wychowania, i cennych nagród rzeczowych. Natomiast dwie pierwsze równorzędne nagrody dostały filmy z Technikum Budowlanego w Zakopanem. Za ciepły, bezpretensjonalny film o koleżankach w Dniu Święta Kobiet (wspaniałe „antyakademicki"!), i za film publicystyczny o odbudowie szałasów pasterskich na terenie Tatrzańskiego Parku Narodowego. Film ten rejestruje kolejne etapy realizacji czynu społecznego młodzieży, która postanowiła połączywszy przyjemne z pożytecznym, odbudować własnoręcznie i zrekonstruować zabytki architektury pasterskiej. A że pracowano nie zważając na powoli krążące pisemka uzgadniające, film nie kończy się akordem triumfalnym. Nie. Ciekawy film o ciekawej inicjatywie kończy się jakże interesującymi słowami komentarza: Dyrekcja Parku Narodowego nakazała przerwanie prac, uznawszy je za nielegalne.

Wśród różnorodnych prób pokonywania oporu tworzywa, wśród filmów posługujących się techniką animacji, pośród reportaży impresji i dowcipnych, zwięzłych plakatów filmowych dwa filmy wyróżniały się w szczególny sposób. Jeden z nich, „Ludzie i tony", to biegły dojrzały reportaż o realizowaniu skomplikowanego zadania wymagającego sprawności i siły fizycznej. Znakomicie skomponowanym i zmontowanym obrazom maszyn i ludzi towarzyszy jako tło i jedyny komentarz dźwiękowy... msza gregoriańska. Stworzyło to zadziwiający kontrapunkt i pozwoliło autorowi uzyskać ową bezcenną wartość, jaką jest intelektualne i poetyckie skojarzenie, wrażenie skupienia, godności i wielu głębokich uczuć trudnych do wyrażenia słowami. Rzecz to tym bardziej godna uwagi, że na ogół muzyka w filmach amatorskich traktowana jest jak przypadkowy akompaniament, pretensjonalnie, lub nawet bezmyślnie. Po tego rodzaju muzykę na pewno nikt nie sięga przypadkowo.

Inny film, zmuszający do zastanowienia, to „Vision, czyli zetknięcie wyobraźni z rzeczywistością". Film ten jest przedziwną mieszaniną dojrzałości i prymitywu, biegłości operatorskiej i nieporadności intelektualnej. A treścią filmu jest przeżycie narkotyczne, ekstaza i niepokój. Więcej w nim na pewno wyobraźni niż rzeczywistości. Partie ekstatyczne pokazane są znakomicie, gorzej, kiedy autor zreflektowawszy się, usiłuje pokazać coś, co ma być może, odwrotną stroną medalu narkotycznej euforii. Próba to ambitna i klęska honorowa, przynosząca nadzieję.

Było też na przeglądzie trochę złych filmów. Złe były zdawkowe, taśmowe, śmiertelnie nudne składanki z cyklu „Nasze ulubione zajęcia". A czymś wyjątkowo niedobrym był barwny reportaż, rzekomo z igrzysk sportowych młodzieży. Piszę rzekomo, ponieważ na ekranie widać wyłącznie oficjalnych gości, przemówienia i inne akademie ku czci. Oto, jak dorośli demoralizują młodzież! To my, dorośli, nauczyliśmy tę młodzież bezpiecznego lizusostwa, tego, że ważne jest KTO wręcza nagrody, a nie KOMU i ZA CO. Od nas, z dorosłych zebrań, gazet i filmów młodzież przejmuje ten zły zdrętwiały, niepolski język, którym się posługuje.

Na szczęście to tylko margines. Większość filmów pokazywanych na łódzkim przeglądzie budzi naprawdę dobre nadzieje na przyszłość.

Tylko smutno nam, że na tym przeglądzie Łódź świeciła głównie... czerwoną latarką końca wyścigu. I przykładową, sprawną i serdeczną organizacją przeglądu.

EWA NAGURSKA

POLEMIKI

WYCHOWANIE - SPRAWA NIEŁATWA

Przypomnijmy na początku fakty. 17 sierpnia br. na łamach „Odgłosów" ukazał się artykuł Witolda Słotwińskiego pt. „Awantura nad harcerskim wyrem". Autor opisywał w nim historię usunięcia z obozu harcerskiego w J. jego uczestniczki Ewy B. Powód: zejście z warty. Kontrolujący zastali Ewę B. wraz z uczestnikiem sąsiedniego obozu w namiocie. Ewa B. dopuściła się dwukrotnego naruszenia regulaminu: regulaminu warty i regulaminu uczestnika obozu. Przedstawiciel kierownictwa obozu przywiózł Ewę B. do Łodzi i nie zastawszy w domu jej rodziców, pozostawił ją bez opieki w domu.

Takie są fakty, których nikt nie kwestionuje. Spór dotyczy natomiast interpretacji tych faktów. Wkrótce po zaistniałym incydencie na obozie harcerskim w J., w Komendzie Chorągwi Łódzkiej ZHP doszło do spotkania z rodzicami, w którym uczestniczył Witold Słotwiński. Nie dało ono jednak żadnego rezultatu, gdyż interpretacja nie kwestionowanych faktów zdecydowanie różni Komendę Chorągwi Łódzkiej ZHP i rodziców Ewy B. Komenda Chorągwi Łódzkiej ZHP ze swej strony proponowała wielokrotnie rodzicom Ewy B. odbycia spotkania w składzie: komenda obozu w J., przedstawiciele Komendy Hufca Łódź — Górna, przedstawiciele Komendy Chorągwi i zainteresowani rodzice. Jednakże rodzice Ewy B. nie zgodzili się na przyjęcie takiej propozycji, uważając, że doświadczona instruktorka harcerska, długoletni pedagog, jakim jest komendantka obozu w J., nie jest partnerem do rozmów o incydencie, jaki miał miejsce na obozie w J. Mimo, że nie doszło do spotkania rodziców w proponowanym składzie, odbyły się jednak trzykrotne rozmowy kierownika Komendy Chorągwi z rodzicami, podczas których wyjaśniono przyczyny podjętych decyzji. Rodzice Ewy B. nie wzięli również pod uwagę, że w składzie kadry obozu harcerskiego w J. był doświadczony pedagog, pracownik Inspektoratu Oświaty Łódź — Górna.

Pragniemy przypomnieć, o czym zresztą pisał Witold Słotwiński na łamach „Odgłosów" 22 listopada br. w artykule zatytułowanym „Nie ma sprawy?", że inspektor odpowiedzialny za odwiezienie Ewy B. do Łodzi, a który pozostawił ją w domu bez opieki, został odpowiednio ukarany. Możemy przy tej okazji poinformować, że incydent zaistniały na obozie w J. był przedmiotem dyskusji na posiedzeniu Komendy Hufca ZHP Łódź — Górna. W dyskusji tej uczestniczyli instruktorzy harcerscy, którzy wchodzili w skład obozu w J. Dla nas przykry incydent z obozu harcerskiego w J. jest punktem wyjścia dla szerszej dyskusji o problemach wychowawczych w organizacjach młodzieżowych. I taki punkt widzenia sugerowaliśmy Witoldowi Słotwińskiemu, który zaaprobował go, stwierdzając, że chętnie zająłby się w swojej działalności publicystycznej tego rodzaju zagadnieniem.

O sankcjach, jakie wyciągnięto w stosunku do instruktora winnego zaniedbania swoich obowiązków powiadomiliśmy na piśmie z dnia 17. VIII. 72 r. rodziców Ewy B., przepraszając ich jednocześnie za cały ten przykry incydent. Jednocześnie Komenda Chorągwi uznała decyzję komendy obozu w sprawie przywiezienia Ewy B. do Łodzi za słuszną.

Nie podjęliśmy wcześniej publicznej polemiki z artykułem Witolda Słotwińskiego, gdyż — po pierwsze — uznaliśmy, że problem ten wymaga ostrożnego traktowania, a ekscytowanie się nim na łamach pisma może wywołać sporo szkody, a — po drugie — dlatego, że razi nas dość wulgarny ton artykułu Witolda Słotwińskiego. Powracamy do tego tematu obecnie, posądzeni o „chowanie głowy w piasek", podając niezbędne, naszym zdaniem, wyjaśnienia.

KOMENDA CHORĄGWI ŁÓDZKIEJ ZHP
im. Bohaterskich Dzieci Polskich

OD REDAKCJI:

Sprawy wychowania na pewno nie są ani łatwe, ani proste i niewątpliwie wymagają dużo taktu i kultury przy ich publicznym podejmowaniu. Dla rodziców ich dzieci są zawsze najlepsze, najmądrzejsze, minimalnie obciążone różnymi wadami. Wychowawcy patrzą na swoich wychowanków inaczej, mając obowiązek być obiektywnymi przy ocenie, która jest przecież podstawą do wyboru takich a nie innych środków wychowawczych. Coś z tej prawdy jest i w sprawie Ewy B. Żadna ze stron nie kwestionuje faktów, a każda inaczej je interpretuje. Spór o interpretację może się jednak przerodzić w walkę o uznanie racji jednej ze stron, a to nie miałoby pozytywnego wpływu wychowawczego ani na Ewę B., ani na innych młodych, którzy są zainteresowani tą sprawą, gdyż obóz w J. nie istniał na wyspie, a cała ta sprawa nie dokonywała się w idealnej pustce. Dlatego uważamy, że czas już ją zamknąć i więcej do niej nie powracać. Z radością witamy więc stanowisko Komendy Chorągwi Łódzkiej ZHP, które — choć późno — przyczynia się do ostatecznego zamknięcia sprawy na łamach „Odgłosów".

ła literackiego i wszelkie pozaliterackie uprzedzenia raczej śmieszą".

I pisze dalej autor „Alchemii słowa":

„Można iść śladem dziejów ułomnego u nas pisania o książkach i podać (...) liczne przykłady przeoczeń, skutkiem bądź uprzedzeń i złej woli, bądź szczególnej niewrażliwości na dzieło literackie jako dzieło sztuki, bądź z chronicznego nasycania się komunałami, które są aktualnie w obiegu".

Z całej obiecująco rozpoczętej dyskusji o krytyce odniosłem wrażenie, iż wszyscy walczą o krytykę słuszną. Obawiam się, że krytycy tłumią nieraz w sobie tzw. chłopski rozum po to tylko, aby napisać słusznie i naukowo.

A przecież krytyk, jeśli swoją działalność traktuje twórczo, nie może trzymać się kurczowo założonych z góry racji i argumentów. Powinien także operować wrażeniem i odczuciem. Krytyk wcale nie jest od tego, aby po aptekarsku wyważać racje: pochwały i nagany.

Marginesem problemu są spory, czy grzecznościowa laurka w codziennej gazecie lub tygodniku jest prawdziwą krytyką artystyczną. Oczywiście, że nie jest. **Istotą problemu są natomiast te wszystkie obyczajowe, środowiskowe, czy półoficjalne instrumenty nacisku, którym krytyka i krytyk podlegają.**

A przecież historia literatury uczy, że wcale tak nie musi być. **Stanisław Brzozowski** nie ugiął się przed wysoką społeczną oceną pisarstwa Sienkiewicza, lecz odsądzał je od czci i wiary. A mimo to, lub może także dlatego pozostanie w naszej literaturze jednym z najtęższych umysłów krytycznych.

Krytyka nie powinna więc bać się popełniania błędu, lub uginać się przed innymi ocenami. Musi przede wszystkim być własna, a nie powielana. Może nie mieć racji, ale nie może nie mieć własnego zdania.

Można również wołać — jak to czynił **Baudelaire** — o krytykę „stronniczą, namiętną, polityczną". Tylko jeśli się nie jest Baudelaire'em stwarza to klany wielbicieli, kręcących się wokół efemerycznych sław, stwarza to pozorne wielkości i fałszywe wartości.

Więc znów stajemy przed problemem **„kto może być krytykiem"**. Problem walkowany od lat i od lat nie rozwiązany. Cytowany tu już Saint-Beuve i Henry Bars wymieniają szereg przymiotów, jakimi powinien cechować się krytyk oraz, jakie są mu przeszkodą. Bieda tylko w tym, że empirycznie sprawdzić te postulaty nie sposób, bowiem nie było w historii literatury światowej tak idealnego, wzorcowego krytyka. Jedni twierdzą, że sam krytyk powinien uprawiać jakiś rodzaj sztuki na odpowiednim poziomie — inni twierdzą, że nie powinien mieć zdecydowanych gustów.

Myślę, że zastosowanie tzw. odpowiednich szufladek nie ma sensu. **Krytyka jest częścią sztuki, choć od niej bywa zależna.** I chyba to jest najważniejsze. Krytyk prawdziwy jest twórcą — bez względu na to, czy pośredniczy tylko między twórcą dzieła i odbiorcą, czy też jest sędzią i feruje wyroki.

Krytyk więc musi być na swój sposób artystą, aby pojąć znamienne wyznanie **Monteskiusza: „żądam jednej łaski (...), by nikt nie osądzał na podstawie krótkiej lektury pracy dwudziestu lat".** Jeśli ktoś zrozumie gorycz tego wyznania — może być krytykiem, może się mylić, sądzić i interpretować.

Majakowski wołał kiedyś o poetów dobrych i różnych. Krytyce też jest potrzebny ten postulat. **Potrzeba krytyki różnej — nie pod sznureczek, jak za panią matką, za Puzyną, za Osęką, za Kałużyńskim...**

A iluż jest krytyków, także w Łodzi, którzy najpierw czytają to, co napisali stołeczni koryfeusze, aby się natchnąć do — pożal się Boże — własnych wynurzeń. A przecież właśnie wielość krytycznych ocen daje w sumie bogactwo, będące istotną wartością działalności krytycznej.

Bez tego bogactwa myśli krytycznej, bogactwa, z którego mogą wynikać spory o istotę rzeczy, a nie o detale, trudno sobie wyobrazić wielką krytykę artystyczną. A nieobecność takiej krytyki jest niewątpliwia. Teorię krytyczną Romana Ingardena próbuje się mechanicznie dopasowywać do marksizmu, ale nikt nie potrafi poprowadzić z nim sporu na jego poziomie. **No, bo skąd, skoro krytycy wiodą dysputy o detale. Czego uroczym przykładem jest właśnie ostatnia łódzka dyskusja o krytyce.**

JERZY WILMAŃSKI

EWA OSTROWSKA

ZABAWA W ŚLEPEGO

Cóż za wspaniała zabawa: udawać ślepego. Będąc dzieckiem bawiłam się w nią, nazywało się to „ciuciubabką". Czterech braci i ja. Kto będzie „ciuciubabką"? Nikt z nas nie chciał, oczywiście. Nikomu się ta rola nie uśmiechała. Ale byliśmy tylko dziećmi, więc obdzielaliśmy się nią sprawiedliwie, bez oszustwa. „Entliczek, pętliczek, czerwony stoliczek, na kogo wypadnie, ten skłoni się ładnie, bach!" Na kogo „bach!" wypadało, musiał poddawać się torturze wiązania oczu szalikiem, czasami ścierką wyniesioną potajemnie matce z kuchni, jeżeli nie mogliśmy znaleźć dość ostrego i kłującego szalika. Celebrowaliśmy tę czynność, zawierała w sobie moment podniecający: ciuciubabka zaczynała się denerwować, że zbyt mocno ściskamy jej oczy szalikiem, że razem z supłem związujemy włosy, przyciskamy nos tak silnie, iż nie ma czym oddychać, nie może nawet złapać tchu — a to był dopiero wstęp do zabawy, preludium; właściwa, której oczekiwaliśmy z tak radosną a jednocześnie tak okrutną niecierpliwością, aż pociły się nam ręce i czuliśmy bolesne dławienie swoich własnych serc — miała nastąpić. Bezwzględni — każdego z nas po kolei, sprawiedliwie, spotykał los ciuciubabki, więc nie chcieliśmy i nie mogliśmy niczego mu oszczędzić — udawaliśmy, że nie słyszymy błagalnych protestów: skakaliśmy wokoło, tańcząc taniec pewnych siebie zwycięzców. Ustalaliśmy z pieczołowitą pedanterią: czy ciuciubabka może cokolwiek jeszcze dostrzec poprzez potrójnie złożony materiał kłującego szalika lub szorstkiej ścierki; czy już z całą, absolutną pewnością nic, niczego? Wielokrotnie sprawdzaliśmy: węzeł z tyłu głowy jest dość mocno usadzony, nie zsunie, nie obluźni? Żądaliśmy przysięg: „przysięgnij, że nic nie widzisz? przysięgnij!", liczyliśmy: „raz, dwa, trzy i...", przeciągając, lubując się w przedłużaniu jak najrozciągliwszym tej jednej samogłoski: „i", wyśpiewywaliśmy nasze przygotowawcze „i" ma różne tony i głosy, niby miłosiernie dając ciuciubabce do zrozumienia, że już — już, powinna szykować się do swego ślepego ataku, czujna, przygotowana do przyjęcia natarcia, z naprężonymi mięśniami nóg i ramion, lub przeciwnie — może się nami nie przejmować, straciliśmy zainteresowanie zabawą, i nasze zniechęcenie aż przechodzi w lenistwo, nie, nie będziemy się bronić, złapiesz szybko, nudno nam, bawmy się w co innego; a wszystko po to, aby zmylić, ogłupić i wreszcie — zaskoczyć. Błyskawicznie, z nienacka, gdy ciuciubabka najmniej się spodziewa, gdy jej ręce wyciągnięte do przodu, ku nam, drżą już ze zmęczenia — wrzasnąć przeraźliwie: „i — łap!", zdążyć jeszcze okręcić nią jak bąkiem, odskoczyć na bezpieczną odległość. Rzucaliśmy się do ucieczki, niedalekiej przecież, zabawa polegała na nieustannym drażnieniu, manifestowaniu swojej obecności, więc krążyliśmy w zasięgu ręki, śmiejąc się do rozpuku z niezdarnych, ślepych usiłowań przytrzymania któregoś z nas, choćby tylko muśnięcia; dopadaliśmy z nagła, szarpiąc ciuciubabkę za włosy, dmuchając jej w nos lub ucho, kopiąc lub szczypiąc, nadeptując na nogi, wrzeszczeliśmy w niebogłosy, szczęśliwi — szyderczo naśladując pianie koguta, miauczenie kota; szczekanie psa; zapominając w upojeniu rozkoszą dręczenia, iż nas nie widzi — pokazywaliśmy języki, graliśmy na palcach, ciesząc się ze swojej przewagi, znając każdy ruch, który nam zagrażał, uprzedzając każde posunięcie, aż wreszcie ciuciubabka wpadała w bezsilną wściekłość — a był to moment, na który czekaliśmy, kulminacja — i wtedy, stawiając wszystko na jedną kartę, bezrozumnie, pragnęła złapać nas wszystkich na raz, od razu: atakowała powietrze albo pień drzewa, za którym — tak się jej wydawało — ukryliśmy się i zza którego udawaliśmy ćwierkanie ptaka, podczas kiedy nas tam wcale nie było, tylko naprawdę ptak ćwierkał w biało-czerwonym fartuszku na wydętym gardziołku: śliczny; więc płakaliśmy już ze śmiechu, dławiliśmy się nim, jakie to śmieszne: te wyciągnięte przed siebie ręce, palce usiłujące zamknąć się na powietrzu, te podrygi, miotania, nieskoordynowane ruchy całego ciała, potknięcia na równej drodze, uderzenie o przeszkody: studnię, drzewo, stos polan ułożonych na rozpałkę, sagan z kartoflami dla prosiaka, a przede wszystkim — ta bezradność, granicząca z rozpaczą, z szalonym pragnieniem: złapać, ująć za wszelką cenę: ta niezdarna, ślepa nienawiść do nas i siebie; bolały brzuchy i serca od śmiechu, więc milkliśmy — i to było najgorsze dla ciuciubabki, cały czas bowiem lękała się tego milczenia, ponieważ wiedziała, że ono musi nastąpić, jest nieuknione, a my milkliśmy, dopóki nas słyszała, nasze pianie radosne nasze wycia, skowyty, śmiechy, chichoty, spazmy rozkoszy, choć wzbudzały w niej bezsilną wściekłość, a później żywiołową rozpacz — stwarzały pewność, że jesteśmy blisko, obok niej i wierzyła, że może uda się któregoś z nas pochwycić, miała nadzieję, ślepą, ale miała, lecz my milkliśmy i otaczaliśmy ją swoim milczeniem i ciemność stawała się prawdziwa, była wśród ciemności pogłębionej milczeniem, toteż zaczynała odczuwać realnie swoją tragiczną bezradność, swoją niemoc, zależność od nas — a ponieważ matka wychowywała nas w szacunku dla prawdy, pogardzie dla kłamstwa, wpajając nam te zasady ze swoją naiwną wyrozumiałością, a my kochaliśmy matkę, ufając jej naiwnej wyrozumiałości — więc nikt z naszej piątki, stając się ciuciubabką, nie próbował rozluźnić węzła z tyłu głowy, czy pomóc sobie uporczywym marszczeniem nosa w powstaniu szczeliny między opaską a oczami, i jeżeli nawet opaska z szalika lub ścierki rozluźniła się choć trochę podczas zabawy — bo to przecież była wciąż tylko zabawa w ciuciubabkę — uprzedzał lojalnie, zgodnie z prawdą: „widzę was, zawiążcie na nowo". W milczeniu, które zapadło jak na komendę, przestawał wiedzieć cokolwiek: jesteśmy czy już odeszliśmy, zostawiając go z zawiązanymi szczelnie oczami, dlaczego ucichliśmy, co knujemy, co może jeszcze się zdarzyć za naszym milczeniem? Obserwowaliśmy: nieruchomiał, aby szelest jego własnego ubrania, żwiru pod stopą nie przeszkodził mu w uchwyceniu jakiegoś dźwięku z naszej strony — choćby oddechu, choćby westchnienia, choćby uderzenia serca. Obserwowaliśmy: wydało mu się, że gdzieś nas posłyszał, i biegł pełen radosnego wyzwolenia w tym kierunku, z wyciągniętymi wciąż ramionami, którymi już nie zamierzał nas chwytać, lecz obejmować. Obserwowaliśmy: pojmował swoją omyłkę, zatrzymywał się w pół kroku, wciąż jeszcze wyciągając ręce, puste dłonie, jakby je zapominał opuścić; a przecież mógł tak łatwo zmusić nas do poddania, udając, iż chce zerwać opaskę z oczu, wtedy wyskoczylibyśmy z protestującym wyciem, albo choćby udać, że mu się zsunęła i zawołać nieprawdę: „widzę was!", ale nigdy żaden z nas tak nie uczynił, nie uciekł się do żadnego podstępu, lecz zostawał tak: pośrodku rozległego podwórza, które w gęstniejącym milczeniu przestawało być znajome, i z którego wszystko oddalało się w nieskończoność; i stał długo, bez ruchu, z kołyszącymi się beznadziejnie ramionami, a potem rozpoczynał ślepą wędrówkę bez celu, i posuwał się wolno, nie pragnąc już ani nas chwytać, ani obejmować. Obserwowaliśmy. Dociągał nogę do nogi z szuraniem jak prawdziwy ślepiec — nie odnajdywał tak świetnie znanych przedtem sobie ścieżek, których na próżno szukał, obmacując pustymi rękami studnię, jej krawędź, wiadro stojące na ławeczce, ścianę domu, krzak bzu, i drzewo, gdzie wciąż ptak ćwierkał w czerwono-białym fartuszku: śliczny; niczego nie poznawał, gdyż studnia, wiadro, ściana domu, krzak bzu, wszystko było zmienione przez milczenie i ciemność, obce, cudze. Posuwał się, nie rezygnując z odnalezienia choćby małego kamyczka, ziarnka piachu, dzięki którym mógłby odnaleźć siebie. Obserwowaliśmy. Pochylał się, kładł na ziemi, czołgał, usiłując poprzez zetknięcie ciała z ziemią, do której przywierał, wyczuć jakiś znajomy jej, rozpoznawalny fragment; nabierał w dłoń piachu, podnosił do ust, wąchał, rozgryzał. Obserwowaliśmy. Przeżywaliśmy razem z nim jego przerażenie, strach, niemoc, ciemność i nasze milczenie, nie przerywając go wszakże, ponieważ i nam nagle zaczynało się zdawać, że mamy zawiązane oczy. Obserwowaliśmy.

O b s e r w u j ę.

Siedzi naprzeciwko. Rozdziela mnie od niej pusty stół. Nic na nim nie stoi, żaden przedmiot. Stół uprzątnięty dokładnie. Nie stary, nie nowy. Nijaki. Na kwadratowych czy okrągłych nogach? Blat bez koloru: nie brązowy, nie szary; ani jasny, ani ciemny. Żaden. Bez plam po rozlanej herbacie, kawie, mleku, placku kartoflanym, który spadł z widelca i odcisnął się liściem klonu wśród słoi drzewa. Ani jednego zadrapania, rysy, szczerby. Ani nie gładki, ani szorstki. Można wpatrywać się godzinami, dniami, latami — przez całe życie — i nie widzieć. Nic do zapamiętania: stół.

Wiem: chciałaby mieć taki stół na własność.

Ta kobieta: jeszcze nie stara, lat trzydzieści kilka. Człowiek, który nie może mieć na własność chociaż takiego stołu. Ta kobieta: wodzi palcem po ścianie. Wypisuje niewidoczne wzory, stawia kabalistyczne znaki, układa nierozwiązalne równania. Albo po prostu — tylko wodzi palcem po ścianie. Jest dzień, wszystko jedno jaki, pada śnieg, mży deszcz, grzeje słońce, niedziela czy czwartek — palcem po ścianie, tam i z powrotem, tam i z powrotem, jeszcze i jeszcze, minutę, godzinę, wiele godzin, zawsze — palcem po ścianie, bez sensu. Linie podłużne, poprzeczne, poziome, równoległe, krzywe i proste, zgięte, skurczone, poplątane: beznadziejne. Potem, któregoś dnia, wszystko jedno którego, spostrzega wykreśloną plątaninę linii na ścianie, do której leżała odwrócona twarzą. Chce poznać pierwszy ślad, jego początek lub koniec, jak klucz do szyfru, ale niczego już nie potrafi odnaleźć, nie ma początku ani końca, linie nakładają się na siebie, tworzą kierunki, które nigdzie nie prowadzą, całe płaszczyzny bez przestrzeni, obszary bez horyzontu, rzucone na ścianę palcem wskazującym. Podnosi ten palec, blisko, na wysokość oczu, jak niemowlę, które odkrywa istnienie własnych rąk; bada uważnie, przygląda się: palec, połączony z dłonią tworzy łuk, z kciukiem — daszek lub literę „o", małą albo dużą, staje się też kołem, dziobem drapieżnego ptaka, bezbronnym zajączkiem, schwytanym w sidła; sam, bez pomocy dłoni czy kciuka nie służy do niczego, nadaje się jedynie do wodzenia po ścianie, tam i z powrotem, jeszcze i jeszcze, zanim dociągnie do końca linię, którą zamierza wykreślić, już gubi jej początek. Ta kobieta odwraca się twarzą do ściany, zamyka dłoń, pozostawiając na wolności kikut palca wskazującego, rozpoczyna nową wędrówkę. Do góry i na dół. Tam i z powrotem. Jeszcze i jeszcze.

Zapomniała, że tym samym palcem wskazującym, właśnie tym, nie innym, można wiercić dziurkę w ścianie.

Zanim przyśniły się jej robaki, lubiłam wieczór. Nigdy nie wiedziałam, kiedy przyjdzie, oczekiwałam więc go każdego dnia; potrafi zaskakiwać czymś nowym, niepoznanym, czego jeszcze nie zdążyłam się nauczyć, prostą tajemnicą, którą mijałam w bezpośredniej obecności, nieświadoma jej istnienia. Matka, stojąca w progu naszego domu i zwołująca nas na kolację: setki razy, każdego zmierzchu, zimowego czy letniego, stawała tak i wołała. Setki razy biegłam do domu na kolację, nie zwracając najmniejszej uwagi na matkę, aż wreszcie, któregoś wieczoru zobaczyłam: stała w otwartych drzwiach, na tle jasno oświetlonej kuchni, ciemna, prawie fioletowa jak negatyw zdjęcia, i tylko splecione na brzuchu ręce, w których trzymała łyżkę wazową, były białe a łyżka połyskująca srebrem. Myślałam dotąd, że wieczór zaczyna się od lasu, najpierw gęstnieje zieleń pomiędzy drzewami, i zamyka się przestrzeń pomiędzy lasem a niebem. Kiedy indziej leżącą na łące zmoczyła mnie rosa, spadła zanim las dosięgnął nieba, pomyślałam, że to rosa przyprowadza ze sobą wieczór. Ale słońce, zachodzące nad lasem, które spala las i niebo zuchwałą pożogą czerwieni, poprzedza rosę. Nagłe milczenie ptaków — gdzie są ptaki? Nabrzmiewające jak grzmot cykanie rozpasanych świerszczy — co jest najpierw? Matka, stojąca w progu domu, dawno już rozpaliła ogień pod kuchnią, ugotowała wieczorną zupę, nakryła stół, rozstawiła talerze, ukrajała chleba upieczonego między obiadem a kolacją, naszykowała kocioł wrzącej wody do umycia nas — brudasów, odrapańców, włóczykijów, pościeliła nam łóżka: braciom w ich sypialni, mnie w naszej wspólnej, kobiecej alkowie; zatroszczyła się o wszystko, myśląc o nas, o naszym wieczorze od rana, od zawsze, bo cokolwiek robiła, czym żyła od momentu, od którego zaczęła się moja pamięć o niej — było cierpliwym, mrówczym przygotowywaniem do tego jedynego wieczoru. Więc biegłam do niej, ciemniej, prawie fioletowej, a chociaż nie widziałam jej twarzy, tylko wybielone nieprawdziwie przez zmrok ręce, splecione na brzuchu w krótkiej chwili odpoczynku, z łyżką wazą jak berłem, to czułam jej przywołujący uśmiech: więc biegłam — jak potrafiłam najszybciej wyprzedzając nawet braci, z tym bolesnym dławieniem serca, które towarzyszyło mi wówczas, gdy pragnęłam dotknąć nieba; biegłam — i już więcej nie szukałam początku wieczorów, nie umiałam odtąd oddzielić ich od niej. Wieczór, który przychodził dalej, ciemniejąc za oknami, gdy zasiadaliśmy do stołu, łapczywie siorbiąc zupę, zgłodniałymi palcami niecierpliwie krusząc świeży chleb; gdy szorowaliśmy się w dębowej balii, kładliśmy się do pachnących troskliwością łóżek — stawał się nieważny, daleki, zatracał swoją tajemnicę; matka z gęstą siatką zmarszczek pod łagodnymi oczami klękała z nami do wieczornej modlitwy. Przez ścianę, już ułożona spać, otulona kołdrą, z zapachami, jakie zawsze pozostawiała po sobie: trochę wanilii, cynamonu, pszennej mąki i ognia, słyszałam, jak krząta się, sprzątając po kolacji. Szoruje garnki, szoruje podłogi, zamyka na noc drzwi wejściowe szczękając kluczem, nalewa mleko dla kota, który odwiedzał nasz dom przez otwarty lufcik. Palcem zaczęłam wiercić dziurkę w ścianie. Przebiję ścianę na wylot, otworzę w niej okienko; zobaczę wieczór matki: ten, do którego nikt z nas już nie miał dostępu; wieczór, w którym jest tylko sama z sobą.

Ewa Ostrowska jest pisarką młodą, przekroczyła bowiem zaledwie trzydziestkę. Zawodne są jednak takie określenia w stosunku do pisarki, która ma za sobą kilka powieści. Z wykształcenia jest socjologiem, z zawodu dziennikarzem, z pasji pisarką... Debiutowała mając lat dwadzieścia parę tomem opowiadań „Tort urodzinowy". Potem przyszły powieści — m. in. „Pierwszy dzień tygodnia", „Nim jabłoń zdziczeje", „Ptaki na niebie", „Gdzie winą jest dużą...".

W swojej twórczości, noszącej znamiona prozy psychologicznej zajmuje się postawą człowieka wobec własnych słabości, wobec sytuacji zrodzonych przez własną psychikę i układy zewnętrzne — jest to więc, najogólniej mówiąc, zapis doświadczeń egzystencjonalnych człowieka współczesnego. Jak każdy chyba pisarz, Ewa Ostrowska eksperymentuje. Obok „dorosłych" powieści współczesnych napisała także książkę dla młodzieży, obok zapisu ludzkich doznań, napisała także powieść kryminalną... Dziś prezentujemy Czytelnikom fragment nowej powieści Ewy Ostrowskiej, powieści będącej próbą eksperymentu formalnego, opartego a tzw. strumień skojarzeń.

LESZEK ROZGA — „Przenikanie" — akwaforta barwna.

TELEWIZJA

★

Przyznam się, że Arbuzow już mnie nieco zmęczył. Arbuzow w teatrze. Arbuzow w telewizji, w sumie kilka pozycji oglądanych w niedawnej przeszłości. Dziwne to, bo z uwagą śledzę każdy głos w dyskusji o współczesności.

Mam wielki szacunek dla autorów podejmujących temat współczesny, znam trudności jakie tym realizacjom towarzyszą. Również i w sensie czysto artystycznym. Bo przecież muszą to być sprawy rozgrywające się przynajmniej w autentycznej atmosferze, jeśli nie realiach, prawdziwe psychologicznie i posiadające przy tym wszystkim odpowiednią siłę kreacyjną. Są to, ktoś powie, normalne kłopoty twórców. Zgoda, ale w wypadku tematu współczesnego — poddane nieubłaganej presji odbiorców, którzy własne doświadczenia, często bardzo podobne do doświadczeń bohaterów, konfrontują z propozycją odautorską. I to na ogół krytycznie, bo ich własne doświadczenie podpowiada zgoła inne rozwiązanie, często bardzo zwykłe i nieefektowne, kiedy autor, chcąc czy nie, musi być oryginalny.

Tak było i z „Wyborem" Aleksego Arbuzowa. Sztukę uratowali aktorzy. Przede wszystkim niezawodna para — Maja Komorowska i Zbigniew Zapasiewicz (ten sam duet aktorski co u Zanussiego w „Za ścianą") Arbuzow zaproponował nam wybór, który na dobrą sprawę nie może być wyborem, lecz normalną drogą człowieka nauki. Wybrać łatwiznę, czy pokonując trudności, za cenę osobistych wyrzeczeń, dążyć do ambitnego celu. Kwestia pryncypiów, uczciwości, zasad moralnych i osobistej odwagi czy poświęcenia — towarzyszy wszystkim ludzkim poczynaniom. Nie można jej więc uznać za szczególnie atrakcyjną, jeśli chce się coś nowego powiedzieć o środowisku ludzi nauki, dodajmy dla jasności, środowisku, które ma swoje niewymyślone, odrębne i niebagatelne problemy.

Na przykładzie „Wyboru" widać zmęczenie autora tematem, ulubionym terenem penetracji nie tylko już Arbuzowa. Widać powtórzenia w wewnętrznej treści utworu, chociaż pomysł fabularny jest nowy i naprawdę oryginalny. W sumie to jednak za mało na spełnienie oczekiwań po twórcy tak popularnym i uznanym.

★ ★

„Siedem dziewcząt kaprala Zbrujewa" to wydawałoby się zabawny film, nad którym powinno się przejść do porządku dziennego. Chciałbym jednak przy tej okazji zwrócić uwagę na kilka charakterystycznych zjawisk, jakie występują we współczesnej kinematografii radzieckiej. Właśnie przy okazji tego pozornie błahego filmu.

Po pierwsze, pomysłowość. Pomysł tak prosty, że wygląda na autentyczne wydarzenie. Wzorowy żołnierz koresponduje z siedmioma dziewczętami, po demobilizacji postanawia je odwiedzić i najbardziej udaną wybrać na żonę. Ileż tu okazji do wejścia z kamerą w sam środek życia. Każda niemal scena śmieszy, ale jest przy tym celna, ma walor uogólnienia i poważniejszej refleksji. Kapral Zbrujew, sprawny i obkuty na żołnierskich prasówkach, jest chłopcem naiwnym i ciekawym wszystkiego, ale przy tym ma niezawodną intuicję — co dobre, a co złe — zmysł humoru, i poczucie swego miejsca w życiu.

Jaki to może być wzór dla naszych autorów komedii filmowych, które niby też rozgrywają się wśród ludzi i są dla ludzi, ale nic o nich naprawdę nie mówią. (Nb. nawet nie bardzo śmieszą). A szczególnie o młodym pokoleniu, które przecież nie samym seksem i frustracjami żyje...

★ ★ ★

Kilka miesięcy temu ukazała się w przekładzie polskim powieść Błagi Dymitrowej „Objazd". Obecnie mogliśmy obejrzeć film pod tym samym tytułem, według scenariusza autorki. Było to jeszcze jedno rozczarowanie więcej, po konfrontacji książka-film. Niewiele z tej ciekawej i dobrej powieści w filmie zostało, chociaż jest ona wiernym, chronologicznie i faktograficznie, przekładem na język filmu. Jeszcze raz słowo, myśl, refleksja, zwyciężyły fabułę, obraz. Może to wina reżysera, który chciał sfilmować książkę, a więc dokonać rzeczy niemożliwej. Może po prostu zadecydował niedostatek kunsztu twórczego, czy zamiar powiedzenia wszystkiego — w tak skomplikowanej materii. Bo prawda o młodym pokoleniu (obojętnie w Bułgarii czy w każdym innym kraju socjalistycznym) w powojennym dziesięcioleciu i jej ocena z punktu widzenia tych samych, ale już dojrzałych czterdziestoletnich ludzi, jest bardzo skomplikowana i nie poddaje się jednoznacznym ocenom. Tyle jest przecież punktów widzenia, kryteriów, skali ocen...

Film ten może spełnić tylko jedną rolę: przypomnieć o książce, zachęcić ponownie do jej lektury, lub tylko zwrócić uwagę na tę ciekawą propozycję bułgarskiej pisarki. Czynię to niniejszym, bo redaktorzy programu zapomnieli o tym powiedzieć. Nie wiadomo dlaczego? Powiedzmy, że wierzą w naszą orientację na czytelniczym rynku.

JAROSŁAW TARNO

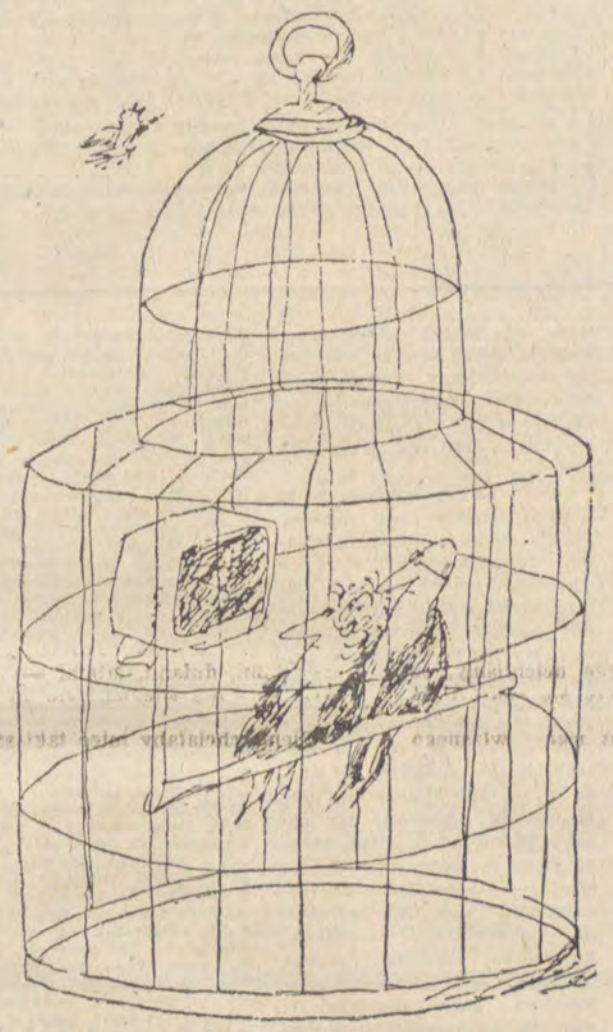

OTTO LOTHAR — Telewizja szefa

FILM

Agatha Christie wiecznie młoda

Nie ulega wątpliwości, iż film „BEZ WYRAŹNYCH MOTYWÓW" jest dobrym kryminałem, choć sama atmosfera i napięcie tajemnicy zbrodni jest mocniejsze, aniżeli jej rozwiązanie. „Bez wyraźnych motywów" jest jednakowoż filmem — ciekawostką, przyczynkiem do dziejów gatunku filmu kryminalnego. Zrealizował go Francuz Philippe Labro według książki popularnego w Stanach Zjednoczonych autora kryminalnych powieści, Eda Mc Baina. Przeniósł swobodnie jej akcję z Nowego Jorku do pięknej Nicei, pozostawił postać inspektora Carelli, przydając mu cechy „gniewnego", których, sądzić można, pierwowzór literacki nie posiadał.

Amerykański rodowód filmu Labro nie kończy się jednak na powieści Mc Baina — intryga i fabuła są jednak w tym filmie spreparowane według wszelkich reguł gry, obowiązujących w najbardziej klasycznym, europejskim kryminale — kilka morderstw, których tajemnicę rozwikła błyskotliwie inteligentny inspektor-detektyw. Znakomita a poczciwa Agata Christie patronuje całej tej zabawie. Amerykański, przynajmniej w zamierzeniu, jest duch thrilleru, amerykańskie są wzorce filmowego sposobu ubrania „starego" kryminału w nowe szaty. Philippe Labro sam przyznaje się do fascynacji dobrym, amerykańskim kinem i przyznać trzeba, że jest uczniem zdolnym — tempo, bezbłędna wartkość opowieści, wszystkie z suspensu poczęte pomysły i rozwiązania sytuacyjne, a nade wszystko sposoby wprowadzania w akcję i prezentowania postaci — to przykłady tej nauki. Nawet doskonały, jak zwykle, Jean Louis Trintignant, tym razem czyni wszystko, by stać się nowym wcieleniem Humphreya Bogarta — zmęczonego, obdarzonego głębokim wnętrzem i wreszcie właśnie — „gniewnego". Być może osobowość Trintignanta sprawia, iż chwilami film ten staje się nie tyle historią zbrodni, ile opowieścią o niebanalnej postaci inspektora policji. Być może było to zamierzeniem reżysera, który opatrzył swój film mottem, wziętym z klasyka amerykańskiej powieści kryminalnej, Raymonda Chandlera: „Nasza historia opowiada o przygodzie człowieka, poszukującego prawdy ukrytej, ale nie byłaby to prawdziwa przygoda, gdyby nie przytrafiła się człowiekowi stworzonemu do przygody". Labro na tej przygodzie chyba jednak poprzestał, jeśli skłania ona czasami ku innym refleksjom, to jednak chyba tylko zasługa Jean Louis Trintignanta. Cóż on jednak sam może przeciw znakomitej aparaturze dobrego komercjalnego kina, przeciw wszystkim smaczkom błyskotliwej, a więc wypolerowanej atrakcyjności opakowania.

Przyznać trzeba, iż Labro dobrał do swego filmu ekipę znakomitą, wprowadzając dreszczyki emocji tkwiące poza samą fabułą. Rozpoznać nagle niezapomnianą bohaterkę „Łagodnej" Bressona, panią Dominique Sanda, zaś w epizodzie ulubioną aktorkę Chabrola — Stephan Audran, stwierdzić, że w aktora bawi się Sacha Distel, przeczytać w czołówce filmu, że zobaczy się w roli astrologa ni mniej ni więcej tylko autora „Love story", pana Ericha Segala, że muzykę do filmu przygotował sam Ennio Morricone, znakomity i najbardziej dziś wzięty na obu półkulach kompozytor filmowy, to wszystko musi gwarantować dobrą filmową robotę i dodatkowe jej atrakcje.

Zmieniają się czasy, zmieniają się obyczaje, te same jednak czynimy rzeczy, choć przydajemy im nowe, naprawdę tylko obyczajowe przymioty. Stary kryminał w nowym opakowaniu — to chyba określenie, które zastąpić może wszystko, co wyżej o filmie pana Philippa Labro zostało powiedziane. „Zaliczyć" ten film jednak na pewno warto.

EWA NURCZYŃSKA

BURSZTYN I LITWINI

KSIĄŻKA

Powieść Marii Siwińskiej czytać najlepiej z katalogiem grzechów głównych schematycznej odmiany poetyki realizmu socjalistycznego. Bez gruntownej repetycji wiedzy o ówczesnych sposobach pisania powieści łatwo można książkę jako twór z niepojętej przeszłości lub przyszłości, podczas gdy jest ona jeszcze jednym przykładem nieudanej próby sprostania współczesnemu programowi o pracy i życiu klasy robotniczej. Nieudanej właśnie z tego powodu, iż autorka poszukując recepty na powodzenie w tematyce niezwykle trudnej, sięgnęła po prostu do dawnych praktyk pisarskich i postanowiła ożywić dawno zmurszałą formę przez wlanie w nią nowych problemów i nowych informacji o budownictwie socjalistycznym w naszym kraju. Niestety, poszukiwała nowego wedle wskazań dawnych: ludzie mieli być pozytywni, praca ciężka lecz narodowi potrzebna, więc budząca entuzjazm i samoczynnie likwidująca wszystkie możliwe konflikty i sprzeczności. Życie bowiem człowieka pracującego jest sielanką, jeśli może swe siły i umiejętności oddać realizacji wzniosłych celów i jeśli jego świadomości nie wypełnia nic innego, jak tylko przemożne pragnienie ich szczęścia.

1.

Bohater powieści Marii Siwińskiej jest Litwinem, do naszego kraju przyjechał z żoną, Polką, z zawodu śpiewaczką. Z dawnej ojczyzny przywiózł ukochanie bursztynu, który — każe nam wierzyć autorka — w życiu duchowym każdego Litwina odgrywa rolę magiczną i ożywia w nim głęboką warstwę mitów i legend określających — co wiemy z lektury tzw. powieści wiejskich — świadomość każdego współczesnego człowieka. Z Litwy przywiózł także szereg nowoczesnych nawyków: przyzwyczajenie do ofiarnej pracy, ukochanie swego zawodu, bezinteresowność oraz traktowanie roboty wedle wzorów kolektywistycznych, niejako z mistycznym nabożeństwem.

Skomplikowana osobowość tego człowieka jest więc dialektyczną jednością przeciwieństw: odczuwa silne przywiązanie do wierzeń i klechd praojców, zna magię bursztynu, ale równocześnie kocha swą pracę wiertniczą i umie w niej smakować tajemniczą przygodę. Niesprzecznie egzystują w nim dwa modele duchowe: pierwszy związany z dawnym typem obyczajowo-kulturowym, drugi ukształtowany przez radzieckie stosunki moralne. Brak któregokolwiek z nich zubożyłby bogate wnętrze Litwina i udaremniłby konfrontację tej postaci z współczesnym typem polskiego urzędnika i robotnika, którzy nie dorównują ludziom kiedyś otaczającym bohatera, przed jego przyjazdem do Polski.

2.

Maria Siwińska jest autorką ambitną, zdąża przeto do szerokich uogólnień charakterologicznych i narodowych. Prawy Litwin pracuje chętnie i postępuje w sposób prostolinijny, natomiast jego nowi współpracownicy postępują dwuznacznie i brzydko kłną. Nawet kobiety polskie, jeśli wzorem Putyfarowej namawiają do grzechu i kuszą, to krętym sposobem, niecną grę stosują, gdy w kraju rodzinnym bohatera proceder jest szlachetnie prosty: kiedy się kogoś pragnie, mówi się chodź i się idzie. I właśnie dlatego Litwin jurnej leśniczynie nie ulega, poskrętnej duszy polskiej nie pojmuje. Jak z tego widać, Maria Siwińska opowiada się za prostotą i autentycznością w stosunkach między ludźmi i krytycznie ocenia zdążanie do celu sposobem okrężnym, co jest rezultatem dekoratywności i obłudy stanowiącej jeszcze trwały element polskiego charakteru narodowego. Przez co formułuje również pozytywne rady wychowawcze, bez których trudno obejść się we współczesnej powieści.

3.

Kiedyś w powieści o budowie przeciwnikiem bohatera pozytywnego był człowiek upadły i grzeszny; najczęściej pozostawał na usługach obcego wywiadu. Było to uproszczeniem, skutkiem nieumiejętnego rozmieszczania blasków i cieni. Maria Siwińska, która w tym wypadku umiejętnie korzysta z doświadczeń przeszłości rozmieszcza negatywne cechy moralno-obyczajowe robotników tak umiejętnie, że występują one poniekąd we wszystkich personach w jednakim stopniu. Nie ma ludzi zupełnie złych, nie ma całkowicie dobrych. Tak rozprowadzone dobro i zło umożliwia nietworzenie — wedle dawnego zwyczaju — kacerzy i aniołów. W jej powieści, jak w życiu i w miłości, mamy wszystkiego po trochu.

4.

Obraz pracy ludzkiej w powieści Marii Siwińskiej posiada perspektywy optymistyczne. Ludzie pracują na ogół zgodnie, próżniaków i cwaniaków mało, źli i brutalni się poprawiają. Ludzie kopią w tej powieści dziury, czasem zalewa je woda — katastrofa jest zabiegiem dramatyzującym sytuację, niezbędnym z punktu widzenia czytelników, których nie satysfakcjonuje rozlewna narracja dzielona na kilka nurtów wspomnieniowych Litwina. On sam też nie jest człowiekiem małostkowym: wykonuje swą pracę jak szlachetny obowiązek, podniośle i lirycznie, z pewną nostalgią za Zatoką Kurońską i bursztynem — sprawami — jak wiemy — dla Litwina najważniejszymi. Czasem w tej pracy przeszkadzają praktykanci, czasem resocjalizowani młodociani przestępcy lub dziennikarze, niekiedy przyjeżdżający kontrolerzy lub brak niezbędnych materiałów. Informacje te w znaczny sposób rozszerzają i pogłębiają tło powieści.

5.

W Polsce — wynika to lepiej z powieści niż z książek Lovella — jest bardzo dużo Litwinów, a życie tej mniejszości jest miłe i urozmaicone. Mają swą małą Litwę, zebrania i nawet niesfornych malarzy. Pozytywne potraktowanie tego wątku służy umocnieniu przyjaźni polsko-litewskiej i pomaga zapomnieć urazy i nieporozumienia, które dostrzegł jeszcze Jerzy Lovell, reporter raczej pesymistyczny. Internacjonalistyczny i wychowawczy charakter powieści jest jej poważnym walorem.

6.

Bursztynowa jest wizja polskiej przyszłości w tej powieści. Bohaterowi marzy się miasto bursztynowe nad brzegiem jeziorka i „człowiek, który wydobędzie bursztyn i da go innym jako kamień słońca, a może kamień szczęścia". Bursztyn jest więc wieloznaczną metaforą przyszłości, powieści o pracy przestały być zwyczajnie jednoznaczne. Z czego nie wynika, iż polscy autorzy znaleźli już kamień szczęścia pomagający pisać powieści. Życzyć im tego wszakże wypada.

WITOLD NAWROCKI

Maria Siwińska: Niebieska ziemia. Wydawnictwo Łódzkie. Łódź 1972, s. 182. Cena zł 12.—

POWRÓT ODYSEUSZA

UDZIAŁ BIORĄ: Penelopa, Odyseusz, pomoc domowa, Marysia.

MIEJSCE AKCJI: salonik gustownie i bogato urządzony — Penelopa w wieczorowej, głęboko dekoltowanej sukni siedzi przed lustrem i poprawia makijaż. Do saloniku, bez pukania, wchodzi Odyseusz — w zbroi, w hełmie.

Penelopa: (zdziwiona) To ty, Odysie?
Odyseusz: (zły) Czas chyba, żebym już wrócił.
Penelopa: (z uśmiechem) Zawsze robiłeś to, co chciałeś — ale, a propos — mówiono mi, że wrócisz w przebraniu żebraka.
Odyseusz: (wciąż zły) Czyś oszalała. W przebraniu żebraka można jechać do rodziny za granicę, a nie wracać do kraju. Czyżbyś chciała, żebym stracił cały szacunek moich wiernych Achajów.
Penelopa: (rozbawiona) Mój kochany Odysie — wróciłeś dużo później, niż miałeś wrócić według tej — no, jakże to... Odysie. Nie ma już twoich wiernych Achajów.
Odyseusz: (zły) Kłamiesz.
Penelopa: (z uśmiechem wstaje z gondolki) Zawsze byłeś raptus, Odysie. Przede wszystkim powinieneś się przywitać — możesz mnie pocałować, tylko ostrożnie, bo właśnie skończyłam makijaż — idę na raut do baronostwa Zapieckich.
Odyseusz: (wciąż zły) Co to za jedni?
Penelopa: Szlachta tutejsza, zacna rodzina, ale podupadła — tak jak my.
Odyseusz: (wściekły) Podupadła, mówisz — ja tu widzę kompletne bankructwo. Zmarnowałaś nasz pałac, mieszkasz w jakiejś przybudówce, ta komnata tutaj, to jakiś schowek na stastare graty.
Penelopa: (śmieje się) Nie przesadzaj, Odysie. Ta przybudówka to elegancka willa, ośmiopokojowa, z dużym ogrodem, w doskonałym punkcie. Pocałuj mnie wreszcie.
Odyseusz: (idzie przez salonik i pobrzękuje zbroją).
Penelopa: Musisz wyrzucić te okropne żelastwa. (Podaje usta do pocałunku, potem odsuwa Odysa i bacznie mu się przygląda). Zmizerniałeś i postarzałeś się trochę, ale oczy masz pełne blasku. (Dotyka zbroi). Przez te blachy nie mogę nawet dotknąć twych muskułów. Zdejm te paskudztwa. Czekając na twój powrót przygotowałam smoking dla ciebie — szył go najlepszy krawiec.
Odyseusz: (wciąż zły) Nie zdejmę zbroi, dopóki nie rozprawię się z zalotnikami, którzy doprowadzili ten dom do upadku. Gdzie oni, gdzie Eurymach, Antinoos, Lejokryt?
Penelopa: (zła) Oszalałeś. Kości tamtych już dawno wiatr rozwiał, a obecnym zalotnikom możesz najwyżej podziękować. To oni tak mnie urządzili. Bez nich dawno już musiałabym pracą zarabiać na życie.
Odyseusz: (wściekły) O, wiarołomna — nie ukrywaj ich. Odrąbię im głowy i rzucę psom na pożarcie.
Penelopa: (śmieje się). To już niemódny sposób. Teraz, jeżeli będziesz chciał zemścić się na kimś — musisz mu podłożyć świnię.
Odyseusz: Tracić świnię?
Penelopa: (rozbawiona) Nic nie stracisz. Podłożyć świnię, to oczernić kogoś, zepsuć mu opinię. To lepsze od ścinania głowy. Facet żyje, a męczy się, umiera powoli... Ale dość żartów, powiedziałeś: wiarołomna. Nie masz żadnych dowodów i nie życzę sobie żadnych aluzji. Nie pytam o twoje sprawki. Nie wytykam ci nimfy Kalipso, królewny Nauzyki, ani czarownicy Kirki.
Odyseusz: (zaskoczony) Sama mówiłaś, że zalotnicy urządzili ci tę... kajutę...
Penelopa: Tak, ale to nie znaczy, że dzieliłam z nimi łoże. Ono wciąż czeka na ciebie.
Odyseusz: (zdetonowany) Chcesz, żebym wierzył w te bajki?
Penelopa: (bardzo poważnie) Twoja sprawa, ale pamiętaj na przyszłość, że niebezpieczny jest jeden zalotnik — jeżeli jest ich kilku — nawzajem się pilnują — zresztą, według tej Odysei, miałam na ciebie czekać w cnocie.
Odyseusz: (z nadzieją) Czy mogę uwierzyć?
Penelopa: (poważnie) Powinieneś, Odysie, (całują się).
Penelopa: (w ramionach Odysa) Całujesz tak, jak dawniej. Tchu mi brak. (Poprawia włosy). Zupełnie zapomniałam — ty na pewno głodny? (Dzwoni na służącą — wchodzi Marysia). Marysiu, przynieś wędliny i wódkę!
Odyseusz: (obserwując Marysię) Może masz wino Achajów?
Penelopa: Wino Achajów. Tego dzisiaj nikt nie pije.
Odyseusz: Co mówisz?... Ale, nie pamiętam takiej niewolnicy... Marysia?
Penelopa: To żadna niewolnica. To pomoc domowa. Musisz odnosić się do niej z szacunkiem, bo o pomoc teraz trudno. Usiądź, Odysie i odpocznij. Niczego nie rozumiesz. Wróciłeś do domu parę tysięcy lat później i wydaje ci się, że wróciłeś do Itaki. Nic już nie ma z tamtych czasów. Zostaliśmy z Telemachem, bo tak zrządziła bogini Atena... Telemach urządził się dobrze. Pracuje w telewizji, jest jednym z najlepszych specjalistów od spraw starogreckich... i jemu pomogli zalotnicy. (Marysia przynosi wódkę i zakąski, ustawia na stoliku i odchodzi).
Penelopa: (napełnia kieliszek) Spróbuj, to wódka.
Odyseusz: (wypija wódkę) Dobra.
Penelopa: Weź kawałek szynki.
Odyseusz: (smakuje szynkę) Nalej jeszcze tego płynu. Cieplej mi na sercu.
Penelopa: Po dwóch kieliszkach już ci cieplej, a wina Achajów musiałbyś wypić ze dwa wiadra.
Odyseusz: (wypija trzeci kieliszek) Mojego konia nie zmarnowałaś? Gdzie stajnia?
Penelopa: (śmieje się) Zamiast stajni mamy garaż, a w garażu „Fiata 1300". Dostała na niego przydział dzięki zalotnikom.
Odyseusz: (nalewa sobie czwarty kieliszek) Co to — ten Fiat?
Penelopa: Samochód. Lepszy od konia.
Odyseusz: (wypija wódkę) Wszystko takie cudaczne, jak bym był u nimfy Kalipso — same czary. Zalotnicy to dobrzy ludzie, wódka lepsza od wina Achajów, Fiat lepszy od konia, smoking — od zbroi. (Obejmuje Penelopę ramieniem). Piękna jesteś, Penelopo, zupełnie jak dawniej... te same oczy, wielkie i niebieskie jak morze — ta sama cera, delikatna jak u brzoskwini... ten sam uśmiech.
Penelopa: (uwalnia się z objęć Odysa) Puść mnie, Odysie. Wciąż te stare nawyki — najpierw wino, a potem kobieta. (Odys przyciąga ją.) Nie, nie teraz, Odysie. Przebierzesz się i pojedziesz ze mną — wprowadzę cię do baronostwa, musisz wejść w świat, poznać nowych ludzi, przyjmować, bywać.

EDWARD KOPCZYŃSKI

LWOWSKIE SPOTKANIA

Miałam okazję obserwować wrażenie, jakie malowało się na twarzy lekarza z Radomska, który wraz z innymi mieszkańcami Łodzi i Ziemi Łódzkiej znajdował się w autobusie, wjeżdżającym do Lwowa. Jego oczy wyrażały najpierw wielkie zdumienie, a potem podziw. Po 39 latach nie mógł poznać miasta, w którym przecież spędził młodość.

— Tych bloków tu nie było ani tych osiedli, ani tamtych budowli — mówił co chwilę, gdyśmy od momentu przekroczenia granic miasta jechali w kierunku centrum.

Lwów posiada fabrykę domów, dzięki czemu oddaje się tutaj do użytku 22 tys. mieszkań rocznie. A w tym roku ilość ich będzie jeszcze większa. W przyszłym — podwoi się, bo na ukończeniu jest już drugi — jak tu mówią — domokombinat. We Lwowie buduje się mieszkania o większym, niż u nas metrażu, bo na osobę przypada tam 13 metrów kwadratowych, nie licząc powierzchni łazienki, toalety czy kuchni. Lwowianie zupełnie wygodnie urządzają się w nowych mieszkaniach. A trzeba dodać, że już trzecia część obywateli tego 600-tysięcznego miasta mieszka w domach, które powstały po wojnie.

Jest regułą, co nam się bardzo podobało, że we Lwowie blok oddaje się równocześnie z parterami, gdzie znajdują się sklepy, punkty usługowe, czy stołówki. Sklepy osiedlowe nie są wcale gorzej zaopatrzone od tych, które leżą w centrum, a niekiedy można w nich znaleźć artykuły przemysłowe, których zabrakło w śródmieściu. Na przykład — froterkę z pochłaniaczem pyłu, jaką sobie dawno wymarzyłam, kupiłam właśnie w sklepie osiedlowym.

We Lwowie, podobnie jak u nas, nowoczesne zakłady ulokowano na obrzeżach miasta. Sylwety tych fabryk prezentują udaną architekturę przemysłową. Lwów stał się potężnym ośrodkiem przemysłu budowy maszyn. Pracują tu, między innymi, zakłady aparatury elektrycznej, fabryka żarówek, zakłady aparatury telegraficzno-telefonicznej, maszyn rolniczych. Zbudowano fabrykę autobusów (po ulicach Lwowa jeździ ich mnóstwo), motorowerów, telewizorów i aparatury gazowej. Powstał też zakład produkujący frezarki. Tylko w roku 1968, jak się dowiedziałam, lwowski przemysł wyprodukował ponad 8 tys. autobusów „ŁAZ", 414 tys. telewizorów i 240 tys. motorowerów.

Rozwój Lwowa wymaga wciąż nowych terenów pod budowę osiedli mieszkaniowych, zakładów przemysłowych, a także „zielonych płuc" miasta. I dlatego trzeba będzie o 40 km dalej przenieść lwowskie lotnisko. O zieleń lwowianie bardzo dbają. Wprawdzie nasza wizyta przypadła na szare jesienne dni, gdy nawet najpiękniejsze miasto traci na urodzie, ale nie sposób było nie zauważyć, jak wielką wagę, przywiązuje się tutaj do parków, skwerów, czy pasaży. W sobotę, w dzień wolny od pracy i nauki, młodzież ze szkół i zakładów pracy poświęca niemal całe przedpołudnie na pielęgnację trawników, kwietników, sadzeniu drzewek itp. Nawet na Cmentarzu Łyczakowskim, gdzie znajduje się grób Marii Konopnickiej, porządek taki, że tylko podziwiać. Na płycie grobowca poetki mnóstwo kwiatów.

Sobota, jako się rzekło, dzień wolny od pracy i nauki, jest po południu niemal dla wszystkich dniem wypoczynku. Pustoszeją też wyższe uczelnie, których we Lwowie jest 11 (tylko na Uniwersytecie im. Franki kształci się 12 tys. studentów). Przypadkowo poznane dwie studentki, dowiedziawszy się, że jestem z Polski, opowiedziały mi o więzach przyjaźni i ścisłej współpracy między Uniwersytetem Lwowskim i Uniwersytetem Lubelskim im. Curie-Skłodowskiej. Widomym tego dowodem jest wydanie w stulecie urodzin Wodza Rewolucji, publikacji zbiorowej, opracowanej przez uczonych obu uczelni pt. „Idee Lenina źródłem przyjaźni narodów". Książka ukazała się po polsku i po ukraińsku. Co roku też odbywa się między Lwowem a Lublinem wymiana studentów, studenckich zespołów sportowych czy kulturalnych. Te kontakty, opierające się na wzajemnej umowie, podkreślane są przez młodzież Lwowa ze szczególnym zadowoleniem. Z dumą też poinformowano mnie, że co roku lwowski Uniwersytet opuszcza około 2 tys. absolwentów w ponad 30 specjalnościach.

W sobotę wieczorem miałam okazję obejrzeć w operze lwowskiej balet według N. Hikmeta z muzyką A. Melikowa „Legenda o miłości", świetnie wykonany przez tutejszy zespół z wdzięczną E. Boczliszcze, pełną temperamentu J. Krasnogorową i H. Panasiukiem w rolach głównych. Ten wieczór zapiszę do najbardziej sympatycznych, chociaż po wyjściu z teatru lało jak z cebra. Na szczęście hotel miejski „Lwiw" leży o kilkaset metrów od gmachu opery.

W niedzielne lwowskie popołudnie podziwiałam zespół taneczno-wokalny z Armenii, który tu właśnie przyjechał, aby dać występ na świeżym powietrzu.

WACŁAWA KASPRZAK

§ 4 DAMY + WALET

Każdy przestępca ma swoją ulubioną siedzibę. Piraci kryli się najczęściej na wyspach, zbójcy lądowi lubili jaskinie, gangsterzy urzędują najchętniej w motelach i przyczepach campingowych. Ulubionym miejscem spotkań czterech aferzystek z Łodzi był natomiast magiel. Tam się poznały i tam spotykały, opracowując precyzyjne plany okpiwania bliźnich. Polegało to na tym, że powołując się na wpływy w kwaterunku, wyłudzały po prostu gotówkę od osób, usiłujących wyłudzić od władz mieszkanie. Na przestrzeni dwóch lat proceder przyniósł im pokaźną kwotę 360 tys. złotych. Oszukały 27 osób. Jak widzimy, mimo tylu ostrzeżeń, naiwnych ciągle nie brak. Cwaniaków również.

Duszą przedsięwzięcia była dozorczyni, niejaka Marianna, jej wspólniczką była właścicielka magla imieniem Barbara, klientów do saka naganiała księgowa Krystyna, wahających się i podejrzliwych rozmiękczała skutecznie studentka Politechniki Łódzkiej, Jolanta, występująca w charakterze urzędniczki kwaterunku. Tam jednak, gdzie kobiety nie mogły, wysyłały Zdzisława Dudka, grającego rolę zastępcy kierownika wydziału spraw lokalowych. Chłop nie przepracowywał się zbytnio, ponieważ w zasadzie już na szczeblu dozorczyni i maglarki wyłuskiwano od bliźnich grubszą gotówkę. Zaledwie raz czy dwa musiał swym męskim autorytetem zastępcy kierownika wesprzeć wspólniczki w koronkowych kombinacjach.

Przyznać należy, że metoda, jaką dzielne niewiasty z magla, nawiasem mówiąc elektrycznego, zastosowały, była prosta i skuteczna. Po wyszukaniu ofiary, co nie jest u nas rzeczą wcale trudną, poddawały ją one identycznej obróbce, jaką stosują wobec petenta autentyczni urzędnicy w kwaterunku. A więc musiał petent złożyć wszystkie dokumenty i zaświadczenia, wypełnić odpowiedni blankiet, nadto zakupić weksel oraz znaczki skarbowe. Taka procedura wzbudzała zaufanie. Natrząsamy się nieraz z biurokracji, lecz nic tak człowieka nie podtrzymuje na duchu, jak odpowiedni blankiet ze stemplem. Aferzystki zbudowały taką piramidę biurokratycznych utrudnień, że nawet przy przyjmowaniu łapówki wymagały wypełnienia odpowiedniego kwestionariusza. Nic się tu nie działo na gębę, na wszystko były podkładki.

Przypomina mi się w tym miejscu historia owego desperata telefonicznego. Po wieloletnich bezskutecznych staraniach o zainstalowanie telefonu, kupił sobie w końcu sam aparat, postawił go w domu na biurku i wykręcał konieczne numery. Z nikim się, oczywiście, i tak nie mógł dogadać, ale chociaż teraz nie musiał w tym celu wychodzić z domu.

Osoby, usiłujące w sposób nielegalny otrzymać mieszkanie, widocznie legalnie również nie miały większych szans, więc w gruncie rzeczy jest obojętne, czy składały papiery do Wydziału Spraw Lokalowych czy do magla. Różnicy żadnej, a nadzieja większa.

Po otrzymaniu forsy damy grały na zwłokę, licząc może na cud, może na to, że ofiara całkiem o tych pieniądzach zapomni, a może zginie w wypadku drogowym. Minimalna stawka za M-3 wynosiła w maglu 10 tys. zł.

Najbardziej kłopotliwym petentem damskiego gangu stał się Marek Z. Najpierw wpłacił 10 tys. zł, rzecz jasna z zachowaniem wszystkich administracyjnych ceregieli, lecz zaraz potem zaczął podejrzewać, że padł ofiarą oszustwa i pieniądze szybko wycofał. Żeńska szajka nie tak łatwo jednak rezygnowała z klienta. Do gry przystępowała studentka Jolanta. Udała się ona do Marka Z. z ogromnym zeszytem, wszystkie jego wymagania skrupulatnie odnotowała w odpowiedniej rubryce, złożyła podpis i oddaliła się urzędowym krokiem. Prawdziwa urzędniczka nie mogłaby lepiej wypaść w tej roli. Ponieważ i ta wizyta nie rozwiała do końca wątpliwości nieufnego kandydata na M-3, postanowiono mu wręczyć klucz i podać adres mieszkania. Uczyniła to dozorczyni Marianna, przekazując mu adres pewnego bloku przy ul. Lutomierskiej. Uradowany lokator zastał jednak blok dopiero w budowie, mieszkania były jeszcze bez drzwi, drzwi bez zamków, więc otrzymanym kluczem trudno było w ogóle cokolwiek otworzyć. Najwyżej pudełko sardynek.

W tej sytuacji notorycznie podejrzliwy Marek Z. zwrócił klucz damom, żądając w zamian zwrotu gotówki. Piękne panie przyzwyczajone były raczej do jednokierunkowego ruchu gotówki. Pieniędzy mu nie oddały, zapewniły natomiast, że figuruje już na liście przydziału mieszkań, wywieszonej w kwaterunku. Mężczyzna żadnej listy tam nie znalazł, więc znów stał się natrętny. Wtedy w jego domu zjawił się sam zastępca kierownika wydziału spraw lokalowych dzielnicy. Musiał wzbudzić w Marku Z. duże zaufanie, gdyż przestał on wreszcie wspominać o zwrocie pieniędzy, wprost przeciwnie jeszcze zarekomendował szajce swą koleżankę z pracy. Wpłaciła ona a conto M-3 23 tys. zł. Oczywiście za pokwitowaniem, a jakże. Za tę gotówkę rzeczywiście ujrzała się na „Liście przydziału lokatorów na rok 1972". Obok widniało nazwisko Marka Z. Listę tę również zręczny co bezczelny gang damski wywiesił pod nieuwagę urzędników na tablicy ogłoszeń w korytarzu rady narodowej. Długo tam nie wisiała, lecz swoją rolę spełniła. Przedłużyła czterem damom i jednemu waletowi pobyt na wolności o kilka tygodni.

KAROL BADZIAK

P. S.

Zainteresowanych informuję, że magiel, mieszczący się przy ul. Andrzeja Struga nr 1 w Łodzi, czynny będzie dopiero za cztery lata.

„COSA NOSTRA"...

Rzecz dzieje się na Manhattanie, w dzielnicy włoskiej. Starszy już mężczyzna przechodzi wąską uliczkę, zatrzymuje się przy stoisku z owocami, kupuje pomarańcze, płaci. Sprzedawca dziękuje i dokłada mu gratis jedną pomarańczę. Mówią sobie do widzenia i mężczyzna idzie wolno do samochodu. Nagle dostrzega dwóch uzbrojonych ludzi, więc rzuca się do ucieczki, biegnie do samochodu z szybkością, o którą trudno by podejrzewać człowieka w tym wieku. Rozlegają się wystrzały, mężczyzna wyrzuca ręce do góry i pada na błotnik samochodu. Owoce toczą się po trotuarze. Mieszkańcy Mottstreet, mężczyźni i kobiety, w milczeniu obserwują, jak zabójcy znikają w sąsiedniej ulicy. Nagle oklaski, „zastrzelony" mężczyzna — „chrzestny", aktor Marlon Brando — podnosi się z trotuaru i kłania widzom...

O 11 rano 12 kwietnia 1971 roku w momencie, gdy Marlon Brando „padł" trafiony kulami mafiosi, inny prawdziwy „chrzestny" popija w pośpiechu kawę w pobliskiej włoskiej kafejce, ferując w Nowym Jorku XX wieku sycylijskie wyroki XVIII stulecia. Do jego kompetencji, jeśli można tak powiedzieć, jako bossa jednej z „rodzin" („rodzina" w żargonie mafii nowojorskiej oznacza bandę, liczącą od 75 do 1000 ludzi, związanych przysięgą i zorganizowanych w oddziały, na których czele stoją „kapo", podporządkowani bossom), należało wysłuchiwanie i rozstrzyganie nie kończących się skarg i próśb drobnych rybek świata przestępczego.

Ale powróćmy na Mott-street. Dwaj mafiosi, niejako przydzieleni przez mafię w charakterze ekspertów, bardzo sceptycznie obserwują rozwijającą się akcję i mocno krytykują Marlona Brando: za strój, wygląd i grę, jako że, prawdę mówiąc, ani trochę nie przypominał prawdziwego... bossa mafii.

Producenci „Paramountu" nie wiedzieli jeszcze, że bestseller Mario Puzzo, według którego ów film realizowali, przyniesie im tak ogromny dochód. Ale zdążyli już odczuć, jak wielkie znaczenie do filmu „Chrzestny" przywiązuje „Cosa Nostra". Do czasu ukazania się książki Puzzo, powieści i filmy poświęcone zorganizowanej przestępczości w USA, nie wzbudzały w świecie gangsterskim większego zainteresowania. Z filmem „Chrzestny" rzecz się miała zgoła inaczej. Gdy w 1969 roku książka Puzzo poszła w świat, wieść o tym rozeszła się błyskawicznie po całym kraju, a w rozmowach telefonicznych ludzi z określonych środowisk dominowało zainteresowanie tą opowieścią o ludziach ze świata mafii. Była to ich „saga", niezgorzej naszpikowana plotkami, a wśród jej bohaterów przewijali się niektórzy poważani przywódcy band, śpiewacy estradowi, potentaci filmowi, zawodowi mordercy. Autor książki podkreślał nie ohydę i zbrodniczy charakter ich czynów, lecz specyficzne „prawa honoru", pisał o przywiązaniu członków band do „rodzin". Książka, co prawda kierowała uwagę na silne powiązania polityczne gangsterów i ich wpływ na legalny handel, ale bardziej ich idealizowała niż oskarżała.

Niektórzy działacze polityczni włoskiego pochodzenia oraz pewne organizacje społeczne zarzucali autorowi powieści oczernianie Włochów, jednakże od przedstawicieli środowiska przestępczego, o którym pisał, Puzzo nie usłyszał słowa krytyki. Wprost przeciwnie, zaraz po ukazaniu się książki Puzzo odczuł życzliwość mafii. Gdy będąc w Las Vegas przegrał w ruletkę sporą sumę pieniędzy, ktoś zapłacił za niego dług. W restauracjach znajdował na swoim stoliku butelki szampana, zamawiane i opłacane przez nieznane mu osoby, a jacyś mężczyźni w ciemnych okularach i z brylantami na palcach pozdrawiali go przyjaźnie z drugiego końca sali.

Pół roku przed rozpoczęciem zdjęć do filmu, producent Albert Raddy stanął w obliczu tak ogromnych trudności, że zaczął wątpić, czy ten film w ogóle nakręci. Studio „Paramountu" dosłownie tonęło w powodzi listów, w których realizowany film nazywano antywłoskim, grożono demonstracjami, bojkotem i nieoficjalnym strajkiem pracowników studio, od aktorów aż po elektryków. Raddy zdążył już podjąć starania, próbując dojść do porozumienia z właścicielami domów we włoskiej dzielnicy Manhattanu w sprawie umożliwienia mu robienia tam zdjęć do „Chrzestnego". Nic z tego — wystąpiła przeciwko niemu cała włoska społeczność tej dzielnicy.

W lutym 1971 roku, Raddy zabrał się do szukania autentycznego „chrzestnego" (film dotyczył działalności mafii w latach 40—50). Wieczorem przywieziono go do pewnego wytwornego hotelu na pierwsze spotkanie z Josefem Colombo — starszym i przedstawicielami kierowanej przez niego „Ligi Obrony Praw Obywatelskich Italo-Amerykanów". Josefa Colombo, który był nie tylko założycielem Ligi, lecz także głową jednej z pięciu nowojorskich „rodzin" mafii, uważano za najbardziej wpływową osobistość we włoskich środowiskach Nowego Jorku.

Raddy szedł na to spotkanie bez lęku, ponieważ uprzednio odbył już wstępne spotkanie z jego synem, Antonio. Producent zgodził się wówczas na warunek usunięcia z tekstów scenariusza wszystkich włoskich słów, przede wszystkim zaś słów: „mafia" i „Cosa Nostra" („Nasza sprawa" — nazwa organizacji mafii w USA). Zobowiązał się także wobec Ligi, że przejrzy scenariusz i przerobi te wszystkie jego fragmenty, które członkowie Ligi uznają za przynoszące im szkodę.

Kiedy Raddy pojawił się w hotelu i ujrzał przed sobą wszystkich 1500 delegatów Ligi, siedzących w wielkiej sali tanecznej, nastrojonych wyraźnie niechętnie, zmieszał się w pierwszej chwili. Niezbyt przyjazne głosy z sali uciszył syn Colombo, informując delegatów o cięciach w scenariuszu, na które Raddy już się zgodził. Powiedział również i o tym, że Liga otrzyma swój udział od wpływów kasowych w dniu premiery filmu.

— Żeby nam dali nawet dwa miliony dolarów, będę przeciwko temu filmowi — wtrącił gwałtownie Colombo — starszy. — Nikt nie może sobie kupić prawa do oczerniania nas, Amerykanów włoskiego pochodzenia!

Teraz przyszła kolej na Raddy'ego. Powiedział że w filmie będą pokazani poszczególni ludzie i że nie ma nawet zamiaru szkalować ani uogólniać całych grup ludzi. Że jest to film o korupcji w społeczeństwie amerykańskim w ogóle, obraz współczesnej Ameryki. Film o dramatycznych kolejach ubogich emigrantów, stających twarzą w twarz z uprzedzeniem i dyskryminacją. Że w filmie występuje wielu ludzi i że nie wszyscy negatywni bohaterowie są koniecznie Włochami.

— Posłuchajcie tylko, kto gra poszczególne role — popowiedział Raddy, zabierając się do odczytania nazwisk przestępców nie włoskiego pochodzenia.

— A kto tam w ogóle gra? — wtrącił szybko Colombo — starszy.

Raddy uśmiechnął się. Teraz zrozumiał wszystko. Po chwili, wyrażając zgodę to na tego, to na innego delegata, wskazywanych mu przez Colombo, producent wybrał sobie statystów i aktorów do ról epizodycznych. Spotkanie zakończyło się w atmosferze znacznie cieplejszej...

Nazajutrz po tym spotkaniu, jak nożem uciął, skończyły się wszystkie trudności. Zniknęła groźba strajków w studio. Odwołano zapowiedziane demonstracje i bojkot.

Raddy i jego asystent zaczęli chodzić z podwładnymi Colombo do pobliskiego baru i jadać z nimi obiady we włoskiej restauracji. Koniec końców przedstawiono ich dwóm mafiosi, o których m. in. nakręcano film.

Na wiosnę tego roku „Chrzestny" wszedł na ekrany kin, „Paramount" stał się nie tylko pierwszym i jedynym dotąd w świecie przedsiębiorstwem, które zbiło grube miliony na mafii, ale, co więcej, kompanią filmową, której mafia pomogła w tym całym przedsięwzięciu.

Wszelako wkrótce po wyświetleniu tego filmu, w Nowym Jorku nastąpiły wydarzenia, jak gdyby żywcem wycięte ze scenariusza filmowego. Główną postacią, której sądzone było umrzeć na scenie, tym razem naprawdę, był „Wściekły" — Jo Gallo. Zastrzelono go w restauracji we włoskiej dzielnicy Manhattanu, o piątej rano 7 kwietnia 72 roku. Tego dnia Gallo obchodził swoją 43 rocznicę urodzin. Nagle do apartamentu wszedł nieznajomy mężczyzna i oddał do Gallo kilka strzałów, po czym uciekł wraz z trzema towarzyszami, oczekującymi go w aucie.

Przez trzy dni w sali żałobnej biura pogrzebowego Guido w Brooklynie, pod wizerunkiem Chrystusa stała trumna z polerowanego brązu za pięć tysięcy dolarów. Otaczali ją czarno ubrani mężczyźni, posępni pełni milczącego gniewu i płaczące kobiety. W trumnie leżał Jo Gallo. Jego siostra, Carmella miotała straszliwe groźby: „Ulice spłyną krwią, Jo! Przysięgam ci! W pięć dni po pogrzebie z ulic Nowego Jorku zebrano pięć trupów mafiosi, a chodziły słuchy, że boss nowojorskiej mafii, Carlo Gambino, zatwierdził jeszcze kilka wyroków.

☆

Zgodę Alberta Raddy na wykreślenie ze scenariusza filmu słów: „mafia" i „Cosa Nostra" przyjęła Liga z zadowoleniem, uważając to za swoje wielkie zwycięstwo. Ale i tak mnóstwo ludzi w Stanach Zjednoczonych wierzy, że mafia jest wymysłem dziennikarzy i policji. Co to jest mafia?

Organizacja ta powstała w 1282 roku w Palermo, na Sycylii, gdy miejscowa ludność zerwała się do walki z Francuzami i na okres stu lat uwolniła Sycylię od obcej przemocy. Powstańcy rzucili wówczas hasło: „Śmierć Francuzom — oto zawołanie Italii! Z pierwszych liter tego hasła, w języku włoskim, pochodzi nazwa „mafia". Po powstaniu, ta tajna organizacja walczyła o interesy biedoty. Jednakże w XIX wieku jej charakter uległ radykalnej zmianie. Przywódcy mafii poszli na żołd właścicieli latyfundiów, stając się narzędziem ujarzmiania sycylijskiego chłopstwa.

W końcu XIX wieku mafia zapuściła głębokie korzenie w Stanach Zjednoczonych. Po zakończeniu wojny, szefem nowojorskiej mafii został Genovese Costello.

Zaraz po zagarnięciu władzy postanowił zwołać ogólnokrajowy „zjazd" mafii. „Zjazd" odbywał się w luksusowej willi gangstera Josefa Barbaro, niedaleko Nowego Jorku. Ale nim jeszcze rozpoczęły się obrady, mafiosi spostrzegli, że dom otacza policja i rzucili się do ucieczki. Pięćdziesięciu bossom udało się ukryć, ale sześćdziesięciu wpadło w ręce policji. Jednakże ujętych przywódców mafii nie można było osadzić w więzieniu, tylko na podstawie oskarżenia o udział w „zjeździe". Niemniej, sześć miesięcy później, Genovese Costello został aresztowany pod zarzutem handlu narkotykami i skazany na 15 lat więzienia.

Odsiadując już wyrok w więzieniu w Atlancie, doszedł do wniosku, że jego współtowarzysz z celi, „szeregowiec" z podporządkowanej mu „rodziny", Josef Valachi, jest donosicielem. I oto pewnego lipcowego dnia 1969 roku, Genovese Costello złożył na policzku Valachi „pocałunek śmierci" (w ten szczególny sposób podejrzanemu o zdradę mafiosi daje się do zrozumienia, że został skazany na śmierć). Zapoczątkowało to długi łańcuch wydarzeń, które uczyniły z Valachi bohatera codziennych programów amerykańskiej telewizji.

Po otrzymaniu „pocałunku śmierci" Valachi zaczął zapewniać Costello, że jest bez winy, ale ten puszczał wszystko mimo uszu. Ze strachu i rozpaczy Valachi zabił kawałkiem żelaznej rury pewnego więźnia, sądząc, iż nasłała go mafia, by wykonał na nim wyrok. Za zabójstwo został skazany na dożywocie. Widząc, że nie ma już nic do stracenia, a, być może, sporo do zyskania, zaczął opowiadać władzom o „Cosa Nostra" wszystko, co tylko o niej wiedział, nie pomijając też nazwisk. Barwny i drobiazgowo odmalowany obraz „Cosa Nostra" wstrząsnął społeczeństwem USA i pozwolił mu ujrzeć straszliwą pajęczynę zbrodni, oplatającą cały kraj. Dziś, jak utrzymuje londyński „Sunday Times", na całym terytorium Stanów Zjednoczonych działa aktywnie około 25 wielkich band „Cosa Nostra"...

Oprac. J. CZECH

ANDRZEJ GRUN **FRYZURY**

H. MILLER O SOBIE I KOBIETACH

Musiał wyjechać z Ameryki, gdyż nie mógł tam wydawać swoich książek. Były zbyt obsceniczne. Zyskał rozgłos właśnie dzięki obscenie. Czy to ma coś wspólnego z pornografią? **„Nudzi mnie pornografia"** — mówi Henry Miller. W swym mieszkaniu w Kalifornii ma gabinet i toaletę wytapetowane fotografiami, które oględnie jedynie można by nazwać obscenicznymi, a nie pornograficznymi.

Przez szereg lat Henry Miller szokował swych czytelników przedstawianiem w swych dziełach najbardziej drażliwych ludzkich przeżyć, intymnych doznań zwłaszcza w dziedzinie seksualnej. Z niebywałą odwagą dokonywał wnikliwej analizy psychologicznej spraw, o których w sposób tak wysoce artystyczny nikt dotąd nie potrafił napisać. Świetny jako pisarz, o barwnym i żywym języku, Henry Miller twierdzi, że twórczość literacka to uzewnętrznianie się autora i żadne ograniczenia stylistyczne, językowe czy kompozycyjne nie powinny mu być przeszkodą.

Miller w swej twórczości daje opisy surrealistycznych snów i wnikliwe opisy naturalistyczne, humor i groteska sąsiadują ze wzniosłością, tragizm i akcenty błazenady mieszają się z sobą, esej i akcja powieściowa przeplatają się w jednym utworze. Miller jest równie czuły na najbardziej ważkie zagadnienia współczesnej epoki jak i na drobne, nieważne być może, przeżycia swych bohaterów. Wrażliwy na drgnienia prądów współczesności, zbuntowany wobec cywilizacji zachodniej, filozof skłonny do anarchizmu, geniusz i błazen zarazem — Henry Miller jest postacią szczególnie interesującą. Jako pisarz i jako człowiek. Wywarł znaczny wpływ na literaturę światową, zwłaszcza na literaturę amerykańską. Uważany przez niektórych krytyków za najbardziej obscenicznego pisarza w literaturze, pięciokrotnie żonaty, mający za sobą liczne romanse i legendę współczesnego donżuana, Miller powiada: **„Bardzo się cieszę, jeśli jakaś kobieta chce mnie odwiedzić i uczyni to. Ale po co to całe gadanie, o tym jakobym mógł mieć tyle kobiet ile tylko zechcę?! Chcę panu coś powiedzieć! Nie jestem przeciwny przespaniu się z kobietą. Ale o wiele bardziej pragnę, aby się nawzajem z kobietą dobrze rozumieć. A jeżeli kończy się to pójściem do łóżka to dobrze, jeżeli zaś nie, to drugie dobrze".**

Dlaczego tyle pisał o sprawach seksualnych? **„...ponieważ to odegrało tak wielką rolę w moim życiu** — odpowiada Henry Miller i dodaje w nawiasie: **„Szczerze powiem... Pisałem niewiele o moich prawdziwych miłościach. O kilku nawet nie wspomniałem w moich książkach".** Według Millera to D. H. Lawrence (angielski pisarz zmarły w r. 1930, autor słynnej książki pt. „Kochanek Lady Chatterley", która niemal do ostatnich lat uchodziła w Anglii za dzieło skandaliczne, jeśli nie pornograficzne) przypisywał sprawom seksualnym wielką wartość, on zaś Miller nie nadaje szczególnej wagi temu tematowi. **„Traktowałem seks jak coś naturalnego. Jak narodziny lub śmierć".**

Henry Miller nowelista i powieściopisarz kończy w grudniu tego roku 81 lat. Urodził się w Nowym Jorku i tam się kształcił. Próbował następnie różnych zawodów, m. in. prowadzenia nielegalnego wyszynku w czasach prohibicji. Pierwszą książkę zawierającą elementy autobiograficzne wydanie pt. „Obcięte skrzydła" w roku 1922. Cenzura obyczajowa nie pozwala mu na dalsze drukowanie książek. Wobec tego Miller wyjeżdża do Paryża i tu we Francji ukaże się większa część jego utworów. W Paryżu przebywa do 1940 roku. Wraca do Stanów Zjednoczonych i osiedla się w Kaliforni w miejscowości Big Sur. **„...to jest jedyna miejscowość w Ameryce, gdzie czuję się u siebie w domu".** Przedtem lubił Brooklyn. Lata spędzone w Paryżu nie pozostają bez wpływu na twórczość Millera. Jego dzieła zdradzają znaczny wpływ m. in. francuskiego surrealizmu zarówno w jego malarstwie, bo i malarstwo uprawia, jak i w pisarstwie. Obrazy Millera nie posiadają jednak tego znaczenia artystycznego, nie są tak świeże i oryginalne jak jego proza.

Do najlepszych dzieł zaliczana jest przede wszystkim trylogia: **„Zwrotnik raka"**, (1934), **„Czarna wiosna"** (1936), **„Zwrotnik" Koziorożca"** (1939). Ponadto napisał do tej pory jeszcze mnóstwo różnych książek jak: **„Oko kosmologiczne", „Świat seksu", „Mądrość serca"**, trylogię wydawaną w latach 1949 do 1960 pt. **„Różane ukrzyżowanie"**, której poszczególne tomy mają tytuły: **„Sexus", „Plexus", „Nexus"**. Próbował też sił w dramacie pisząc utwór na scenę **„Do szaleństwa kocham Harry'ego.** W pierwszych latach po drugiej wojnie światowej Henry Miller patronował pisarzom tzw. beat generation. Bitnicy byli przedstawicielami młodzieżowego ruchu w Ameryce, a wyrażali bunt przeciw burżuazyjnym zasadom, ideałom i burżuazyjnemu stylowi życia,

„Moje życie i mój świat" — to wyznania Henry Millera, który zbliżając się do osiemdziesiątki postanowił podzielić się z czytelnikami swymi wrażeniami z tej ciekawej epopei jaką było jego życie i jego pisarstwo. Bradley Smith, amerykański fotograf namówił Millera do opowieści autobiograficznej. Początkowo pisarz nie chciał się zgodzić. Twierdził, że opisał swe życie w wielu książkach i to w takim stopniu jak żaden z pisarzy. Z czasem jednak odmienił zdanie. Doszedł bowiem do wniosku, że czyjeś życie odwzorowane w literaturze różni się od bezpośredniej opowieści o tym życiu. Tak więc półtora roku temu Miller nagrał swe wyznania na taśmę magnetofonową. Jest to rodzaj gawędy, monologu skierowanego do Bradley Smitha, choć fotograf nie zadaje żadnych pytań i nie odzywa się. Powstała z tego nagrania książka licząca ponad 200 stron, zaopatrzona w 233 ilustracje w tym 41 kolorowe oraz zawierająca 35 fascimile dokumentów. Przetłumaczona na język niemiecki omawiana jest obecnie przez prasę zachodnioniemiecką, m. in. przez hamburski „Die Zeit".

Miller w swych wyznaniach zachowuje lub przynajmniej stara się zachować kompletną szczerość. **„Oczywiście czasem bujam"** — powiada w pewnym momencie z rozbrajającą szczerością. Czasem opis przeżyć daleki jest od chronologicznej ścisłości, czasem myli się w ważnych sprawach swego życia. Mówi np. o śmierci swej trzeciej żony, Ewy, gdy w istocie była jego czwartą. Miller obecnie żonaty od 1967 roku z uroczą Japonką, śpiewaczką i pianistką z zawodu, chętnie wspomina swe cztery poprzednie żony. Najsilniejszy i niezapomniany wpływ miała na niego druga żona June Edith Smith. **„Bez niej prawdopodobnie nie zostałbym pisarzem"** — wyznaje Miller i choć wycierpiał przez nią wiele, ma dla niej szacunek. Opisał ją pod imieniem Mara w **„Zwrotniku Koziorożca"** a w zakończeniu książki złożył jej prawdziwy hołd. Była piękna, pełna temperamentu i bardzo ekscentryczna. Trzecią żoną była Polka, Janina Marta Lepska (Łebska?). Urodziła mu dwoje dzieci.

W swych wyznaniach Miller zdradza tajemnicę, jakie kobietdy podobają mu się. **„Lubię silne kobiety. Jako typ jestem pasywny, w pewien sposób słaby. Wcale nie jestem supermężczyzną i zawsze pociągają mnie kobiety mocne, z charakterem. Poza tym zauważyłem, że przywiązuję się do kobiet, które są przebiegłe, kłamią, prowadzą swe drobne intryżki, peszą mnie, nie dają mi wytchnienia".**

Dość ciekawe i chyba szczere wyznania pisarza, który w oczach wielu uchodzi za model współczesnego donżuana.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

PRZEOZŁOŚĆ teraźniejszość

MANIA STULECIA

Ceniony publicysta muzyczny p. Ludwik Erhardt bawił przed kilkoma laty na zupełnie u nas nieznanym festiwalu w angielskim mieście Cheltenham. Był tam świadkiem — jak to potem opisał — osobliwego koncertu, na który złożyło się 12 utworów napisanych przez tyluż kompozytorów dla uczczenia 85-lecia żyjącego jeszcze wówczas Igora Strawińskiego. Ledwo trzy z nich krytyk zaakceptował, resztę pominął kurtuazyjnym milczeniem, czyniąc tylko jeden wyjątek, aby wspomnieć o utworze niejakiego p. Johna Tavenera. Była to kompozycja p.t. „Dzwony uroczyste na palącego pianistę i tort urodzinowy", zalecająca się nie tyle walorami muzycznymi, ile szczególnymi wymaganiami, stawianymi wykonawcy. Kompozytor kazał mu (to jest sobie, jako że sam zaprezentował swoje dzieło) wchodzić na estradę z urodzinowym tortem z 85 zapalonymi świeczkami, postawić go na fortepianie, wyjąć i zapalić papierosa i tak dalej.

Nie nęka mnie pragnienie zapoznania się z dziełem p. J. Tavenera, ale zwróciłem na nie uwagę przy lekturze zbioru (świetnych!) felietonów L. Erhardta dlatego, że mimo iż go nie znam, wydaje mi się, że jest ono symptomatycznym w naszych czasach objawem choroby, którą można by określić jako manię bezustannego fetowania coraz to nowych jakichś tam „leci", która tylko patrzeć, jak przybierze rozmiary istnej manii naszego stulecia. Nie wiem, czy na świecie, ale z całą pewnością u nas, jeśli potok kolejnych „leci" będzie i w przyszłości tak wartki, jak dotychczas.

Zwolennicy obchodzenia tych rozlicznych „leci" powiadają, że organizujemy je w imię żywej więzi z tradycją, bez której nie jest do pomyślenia kształtowanie rzeczywistości współczesnego człowieka. Intencje to chwalebne i któż by się im sprzeciwiał? Nie myślę tego czynić; zbyt wiele zapisałem już stron po to, aby dać odprawę pojawiającym się tu i ówdzie tendencjom ahistorycznym, zbyt często upominałem się o znaczenie pamięci o przeszłości dla tworzenia perspektyw nowego jutra, bym tym intencjom zaprzeczył. Ale panowie, życie społeczne, to nie zrzeszenie religijne, gdzie mogą ważyć przede wszystkim dobre intencje! W nim liczą się przede wszystkim rezultaty! A z tymi bywa — trudno zaprzeczyć — bardzo, bardzo różnie.

Możliwe, że w niedługim czasie zrodzi się u nas nowy zawód rocznicysty lub obdarzonego innym mianem specjalisty od „leci", jeżeli jeszcze do tej pory nie powstał. Czy go już nie ma, można się poważnie zastanawiać. Okazuje się bowiem, że z rocznic można u nas całkiem dobrze żyć, trzeba tylko wiedzieć co, gdzie i kiedy przypada. Każda większa rocznica mobilizuje wcale pokaźną grupę ludzi, którzy biorą za pióro i czynią zadość „społecznemu zamówieniu", to jest zapotrzebowaniu naszych tzw. środków masowego przekazu inaczej publikatory na odfajkowanie kolejnego „lecia". I forsa leci, im więcej tych „leci" — niezależnie od tego, co jest warte to, za co leci. Ci sami faceci, którzy przed laty pisywali, w dobie koniunktury, piramidalne bzdury o wszesnym średniowieczu, by później przedstawić się na międzywojenne dwudziestolecie, teraz dostarczają już do redakcji kolejny serwis, tym razem przyprawiony pod Kopernika. Każdy, kto wie coś o wielkim astronomie, kto przeczytał choć jedną poważną pracę poświęconą jego dziełu lub osobie widzi, bo nie można tego nie zauważyć, że wartość tych płodów maszyny do pisania, bo z rzadka mózgu, jest więcej niż znikoma. Akurat taka sama, jak była przed laty, przy innej okazji. Jaki jest tego społeczny skutek? Aż dziwne, że się nad tym nie zastanawiamy.

Nauka historyczna, która jest najbardziej powołana do informowania społeczeństwa o interesujących je problemach przeszłości, nie zawsze władna jest to spełniać. „Lecia", nie tylko te bagatelne, ale często i ważkie, spadają na nas nagle, i wątpię aby poważny badacz nastawiał swój naukowy warsztat na ich tropienie. Nie rocznice i obchody sterują rozwojem nauki. Rocznica może skłonić badacza do uprzystępnienia wyników swoich studiów, ba, nawet może wydatnie wpłynąć na ich przyśpieszenie, czego przykładem znaczne w ostatnich latach ożywienie badań kopernikańskich, ale nie dostarcza sensacji na zawołanie. Ta zaś bardziej niż rzeczowa, spokojna informacja, ma pierwszeństwo w tzw. środkach przekazu i trudno się temu dziwić. Dlatego też zawsze jest droga otwarta dla fabrykantów sensacji, a skoro tak jest, to ich już pewnie nigdy nie zabraknie. A co dopiero, kiedy trzeba (?) czcić jakieś „lecie" zgoła bagatelne, nad którym żaden uczony nigdy się poważnie nie zastanawiał, bo i po co?

Nie, drodzy państwo, nie jestem za zlikwidowaniem obchodzenia rocznic. Ale nie potrafię napawać się tym, jak je obchodzimy. Nie potrafię czytać ze spokojem bzdur, które publikuje się na ich konto. Zgroza ogarnia mnie, kiedy przeglądam to, co już dziś pisze się o Koperniku, chociaż z zainteresowaniem śledzę sporadycznie komunikowane na łamach prasy wyniki badań, prowadzonych czy to w ośrodku toruńskim pod kierunkiem Mariana Biskupa, czy w warszawskiej pracowni kopernikańskiej, którą kieruje Paweł Czartoryski. Ogarnia mnie lęk, gdy myślę, że już za kilka miesięcy będę jadł w restauracji zrazy a la Kopernik, popijając je „Kopernikańskim" piwem, po czym zapalę papierosa „Kopernik" i zaciągnę się wonnym dymem czegoś, co będzie mi bardzo przypominało „Sporty", tylko będzie droższe...

Nie jestem przeciwko rocznicom, ale jestem za umiarem i rozsądkiem, który nie powinien nas opuszczać nawet w uroczystą rocznicę. Jestem przeciw powodzi okazjonalnej chały, która nawet najgodniejsze pamięci „lecie" skutecznie obrzydza. I myślę, że tę sprawę winni wreszcie sobie uświadomić nasi specjaliści od propagandy, którym z chęcią służę licznymi, drastycznymi przykładami, potwierdzającymi starą prawdę, że zła propaganda nieuchronnie staje się kontrpropagandą. Nie widzę też powodu, aby za tę złą propagandę słono płacić.

LEKTOR

Zdarzeni A • I • Zwierzeni A

Skąd taka zmiana?

Od lat fascynuje mnie żywiołowość i jakaś harcerska beztroska zmian szyldów. Proszę nie szukać w tym zdaniu żadnych aluzji. Chodzi o normalne szyldy, takie z blachy, przybijane na ścianach.

Niedawno dowiedziałem się z „Kultury", że znów ktoś wpadł na genialny pomysł i zmienił szyld Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Teraz to się nazywa Akademia Rolnicza. Prof. dr Zygmunt Soczek pisze w „Kulturze", że SGGW powstała w 1906 roku, że uczelnia ta — jej nazwa — nierozerwalnie wiąże się z rolnictwem polskim i nauką polską. Zmiana szyldu w imię zupełnie niejasnych racji budzi sprzeciw i zdziwienie wcale nie z pozycji sentymentalnych, choć zamazywanie 62-letnich tradycji nazwy SGGW też jest sprawą niebłahą.

Pisze prof. Z. Soczek: „Efekt zmiany nazwy uczelni to nie tylko mniej lub więcej słuszne żale jej absolwentów, ale i duże zamieszanie w świecie nauki (...). Nawet każda zmiana nazwy jakiegoś periodyku naukowego wywołuje dużo kłopotów, a cóż dopiero zmiana nazwy całego ośrodka naukowego. Ileż to czasu upłynie, zanim zapomnimy o SGGW i przyzwyczaimy się do Akademii Rolniczej i ile czasu potrzebować będzie na to zagranica?".

Pal licho jednak zagranicę — u nich też się takie zmiany zdarzają. Ot, na przykład stary przylądek Cap Canaveral przemianowali na Przylądek Kennedy'ego. Ale trzeba przyznać, że uniwersytetu Harvard na „imienia Kennedy'ego" nie przemianowali, choć prezydent tam studiował.

A u nas istny kalejdoskop. Są w Łodzi dwie ulice o sędziwych nazwach — Przejazd i Nawrot. Były to drogi, którymi jeżdżono po drzewo z lasu miejskiego. Przejazdem — do lasu, Nawrotem — do miasta. Nawrot nazwano Jelińskiego (nie wiem kto to), Przejazd — nazwano Tuwima. Żeby było śmieszniej, Tuwim nie mieszkał wcale na tej ulicy, tylko na świętego Andrzeja (obecnie Andrzeja Struga). A do szkoły chodził na Sienkiewicza. Z Jelińskiego po jakimś czasie zrezygnowano (nie pamiętam, w którym roku, bo to by wiele wyjaśniło) — w efekcie więc jest Nawrot bez Przejazdu.

Jest to przykład zmian bez sensu i wyobraźni. Bywały jednak i zmiany świadczące o refleksie urzędników magistrackich. Oto była przed wojną w Łodzi ulica Zyndrama-Kościałkowskiego, działacza BBWR, premiera i jednego z szefów „dwójki". Trudno go było trzymać po wojnie na szyldzie, więc zniknął Kościałkowski, a pozostał Zyndram. Miecznik krakowski z XV wieku, bohater spod Grunwaldu, od którego przedwojenny „dwójkarz" wziął sobie legionowy pseudonim. W ten sposób wymowa polityczna jest syta i tradycja cała.

Dość jednak o tym, choć ulice łódzkie są moim szczególnym „konikiem". Nic zresztą dziwnego, skoro między Chłodną a Wojska Polskiego jest w Łodzi ulica Widok. Krótka na parenaście numerów, ale zawsze...

Zmiany szyldów są nieraz konieczne, ale najbardziej bawią zmiany niejako a'rebours. Był kiedyś Centralny Urząd Wydawnictw, koordynujący działalność firm wydawniczych. Zlikwidowano CUW jako przejaw przerostu biurokratycznego. Niedawno powstał... Centralny Zarząd Wydawnictw. Wystarczy w starym szyldzie przemalować środkowy wyraz.

Takie potoki zmian są naszą specjalnością. W dziedzinie czasopiśmiennictwa społeczno-kulturalnego rzecz jest tak zagmatwana, że profesorowie pytają o nią studentów polonistyki, gdy chcą zupełnie zgnębić delikwenta. Dyktuję więc ściągę: „Odrodzenie" i „Kuźnica" — z nich powstała „Nowa Kultura". Dalej „Przegląd Kulturalny", który po drodze wchłonął tygodnik „Wieś" i „Nowa Kultura" — dały razem „Kulturę"...

Zmiany polegają na łączeniu. Na przykład rzekę Rawkę połączono z wentylacją i powstał „Rawent". Co to takiego? Długo jeszcze będziemy mieli z tym kłopot, bowiem chodzi tu o skierniewicki „Chemostal" — nazwę starą, o tradycji ugruntowanej. „Rawent" brzmi może bardziej eksportowo, ale przecież stary „Chemostal" funkcjonuje w świadomości ludzi, nie tylko w książce telefonicznej. Tak jak SGGW, jak Przejazd i Nawrot.

Była kiedyś modna piosenka, którą śpiewał popularny Chór Czejarda (to taka męska „Partita" lat pięćdziesiątych). Piękni chłopcy śpiewali: „Skąd taka zmiana, skąd taka zmiana...". Właśnie skąd? Ano, jak to mówią, z głowy — czyli z niczego.

WIDOK

LEWYM OKIEM!

O PEWNEJ PERFIDNEJ METODZIE

Statystyka to jest zdumiewająca dziedzina działalności ludzkiej. Ma swoich teoretyków, specjalistów, ma także swoich męczenników, niewolników, kapłanów i hobbystów. Mamy notabene sympatię do hobbystów, dopóki nie ujeżdżają swego konika w godzinach pracy, za społeczne pieniądze, dopóki nie udają przy tym działaczy niezmiernie zaaferowanych „sprawą publiczną".

Ważniejsi są jednak fachowcy od statystyki oraz to, jak realizowane i jak wykorzystywane są ich fachowe wytyczne. Zostawmy zresztą bardzo pryncypialne rozważania, chodzi nam bowiem tym razem o patologię systemu obiegu informacji. Mianowicie chodzi o taką sprawę:

Nie jest możliwe zarządzanie, jeśli organ zarządzający nie posiada odpowiednich informacji w odpowiednim czasie o tym, co się dzieje na terenie objętym gestią tegoż organu. Informacje docierają do wszystkich szczebli zarządzania w formie sprawozdania, a sprawozdanie to statystyka. Jakież jednak mają być te „odpowiednie" informacje, jakie są logiczne granice obfitości, szczegółowości, przydatności sprawozdań? Joyce napisał o jednym niecałym dniu grubachnego „Ulissesa". Jedno zdanie można napisać na milion sposobów, można znaleźć dla niego miliard odniesień do biliona innych zdarzeń, można nawet to wszystko ująć w liczbowe wskaźniki. Ale co z tego będzie naprawdę przydatne do należytej oceny zdarzenia i do wyciągnięcia konkretnych wniosków? Spośród nieskończoności możliwych informacji — które wybrać, o które zapytać? Jednym słowem, które cechy przedmiotu rejestrować, żeby to się komuś na coś przydało?

Widzieliście zapewne odbijane na wielu towarach — bądź bezpośrednio na przedmiocie, bądź też na przyczepionej do niego etykiecie — długie szeregi cyfr. Są to zaszyfrowane cechy danego towaru. Cyfr tych jest bardzo dużo i fachowiec potrafi z nich odczytać wszystko. Na przykład, że daną parę szelek wyprodukowano z taśmy stylonowej na podkładzie bawełnianym, że są to szelki męskie podwójne w kolorze zielonym, luksusowe. Z milionów takich i podobnych informacji układa się na różnych szczeblach przeróżne zestawienia, z których wiadomo, kto wyprodukował, ile par szelek dla panów, ile w tym było luksusowych, ile podwójnych, ile z taśmy stylonowej, ile sprzedano na eksport, ile do Warszawy, za ile, kiedy, kto ile zarobił, ile zużył stylonu, ile bawełny i tak dalej. Są to wszystko informacje, które uznano za niezbędne dla celów zarządzania, a uznano wtedy, gdy ustalano ów cyfrowy szyfr informacji.

Ale przecież nie wiadomo „wszystkiego", wiadomym może być tylko to, co uznano za godne śledzenia, za potrzebne. I oto nasuwa się szansa dla wszystkich nieudanych, czy też niezmiernie sprytnych „działaczy gospodarczych": stawiać na informacje, których nikt nie posiada. Żądać określania towarów czy w ogóle pojęć cechami, których nikt nie rejestrował. Na przykład instytucja handlowa oskarża producenta, że dostarcza mu za mało szelek (żeby pozostać przy tym f i k c y j n y m przykładzie), szytych białą nicią od prawej do lewej. Według sposobów szycia i według kolorów nici nikt nigdy tego towaru nie klasyfikował. Świetnie! Na skargę handlowca musi zareagować producent, domaga się tego jednostka nadrzędna. Reakcja nie może być byle jaka; jeśli ktoś chce interweniować, to musi od razu wiedzieć: ile zamówiono szelek szytych białą nicią od prawej do lewej w roku ubiegłym, ile takich dostarczono, ile będzie w roku bieżącym, czy dostawy wykazują trend rosnący, czy wskaźniki, proporcje, tendencje, plany, zobowiązania — hej, rusza z góry lawina!

Armia ludzi zaczyna kopać po archiwach w stu miejscach Polski. Niczego się nie dokopią. Centrala przynagla. „Działacz", który wywołał upiora, uśmiecha się pod wąsem. Kto inny musi się bronić, nie on. Kapitalny wynalazek! Świetna, sprawdzona po wielekroć metoda! Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś z centrali wygasił taką sprawę w zarodku, żeby po prostu zwrócił uwagę, że należy posługiwać się kryteriami uznanymi, ustalonymi, istotnymi, zamiast wznosić dymne zasłony coraz inaczej precyzowanych żądań, inaczej definiowanych pojęć, inaczej agregowanych rzeczy i cech. W komunikatach wojennych taka metoda nazywała się manewr odwracający uwagę. Czy nie należałoby właśnie poświęcić nieco uwagi stosowaniu takich manewrów w życiu gospodarczym?

ĆWIEK

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6.50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17 Zam. 2726 D-7.